№ 48. Warszawa, dnia 26 (14) Listopada 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

ŻYD W KARCZMIE I ŻYD W SZKOLE.

„Chociaż w Polszcze odbierze Stan Rolniczy sprawiedliwość, a Stan Mieyski bezpieczeństwo, przecież z trudnością rolnictwo i Miasta powstawać będą, dopokąd w ręku żydów szynk trunków zostanie.... Tak długo nasz chłop ze swojej nędzy z trudnością dźwigać się będzie i od nałogu pijaństwa nie odswoi się, jak długo ród żydowski przez swoją religię, przez wychowanie do oszukiwania sposobiący się, będzie władać tą trucizną, przez którą, gdy zechce, może kilku millionom ludzi głowę zawracać, a na kilka godzin przytomność im odebrawszy, rozrządzać majątkiem polskiego rolnika, jak mu się podoba. Dwa przeto prawa względem żydów koniecznie są potrzebne: 1) aby żaden żyd w całej Polszcze nie mógł szynkować trunków; 2) aby żydzi w Miastach, równie jako innych religii mieszkańcy podlegali zupełnie Magistratowi i rządowi miasta, nie mogąc mieć żadnych osobnych urzędników. Daley, dla zupełnieyszego wykorzenienia w nich ducha zgromadzenia i stanu, należy, aby ich wychowanie było poddane Komisyi Edukacyjney, która by im wyznaczyła nauczycielów, przepisała moralność i inne Książki Elementarne."

Tak sprawę udziału żydów w handlu wódką rozstrzygał w swych *Przestrogach* Staszyc.

„R. I. § 7. Zawiesza się na lat 50 od d. możność (dla żydów) palenia gorzałki i szynku wszelkich trunków. Przed upłynieniem lat 50, wyda władza prawodawcza wyrok, czy jeszcze dalej taż wolność mienia szynków ma bydź zabronioną. Naprzód zakaz wyszynku miał dotyczyć wsi, a po latach sześciu — miast, aby żydzi mogli stopniowo odmieniać sposób życia."

R. IV. § 4. Wolno jest w każdej społeczności żydowskiej mieć osobną szkółkę, byle:

a) została postawioną i utrzymaną podług *powszechnego* planu, który władza edukacyjna dla *wszystkich* szkół wyda;

b) nauczyciel winien być uczonym w szkole nauczycielskiej;

c) nauki powinny być dawane podług powszechnego przepisu."

Tak znowu też samą sprawę w projekcie (Komisyi Skarbu) załatwić radził Czacki.

Przytoczyliśmy dwa te sądy dwu znakomitych pisarzów, ażeby z jednej strony określić stanowisko, jakie dotąd zajmuje większość publicystów polskich w przedmiocie dopuszczenia żydów do handlu wódką, z drugiej zaś — zaznaczyć w tradycyi naszej ważną wskazówkę dla rozplątania kłębka, nad którym obradowało zgromadzenie biegłych w Petersburgu. Co do pierwszego punktu, faktem jest, że żydzi szynkarze bezinteresownych obrońców w Polsce nigdy nie mieli i mieć nie mogą. Pisarze nasi, wzbijając się nawet na najwyższe szczyty wolności społecznej, wyłączali z niej zawsze barbarzyński, nawskróś zepsuty, na moralnej i materyalnej ruinie ludu rozrastający się żywioł, który nie sam był winien temu, jakim był i jest, ale był i jest szkodliwym. Nad wytworzeniem tego polipa pracowały nietylko jego skłonności, ale nadto prawa, usuwające izraelitów z innych pól zarobku, ciemnota ludu, poddającego się łatwo wyzyskowi, wreszcie niedbalstwo szlachty, od której Staszyc żądał, ażeby „starała się powiększać naród polaków, a nie naród żydów." Karczma, gdzie dzięki tym współczynnikom zapanował żyd prawie bez podziału, stała się kryjówką pająków, które z niej rozpinały swoje zabójcze sieci i łapały w nie biedne i głupie muchy. Nic też dziwnego, że nawet ci, którzy nie rozkrawali społeczeństwa wyznaniowym nożem i dla których różnice plemienne i wyznaniowe ginęły w sferze pracy dodatniej, potępiali szynkarzów. Że zaś to potępienie spadło wyłącznie na żydów, winien temu ich szeroki udział w handlu wódką, oraz specyalne zdolności i popędy do wyzysku, jakie w tym właśnie kierunku ujawnili. Zupełnie naturalnym wynikiem tego zła były publicystyczne i prawodawcze usiłowania odsunięcia żydów od handlu wódką, które objawiły się również w najświeższych obradach zgromadzenia biegłych. Najkrótszą drogą, którą właśnie i biegli w sprawie pijaństwa obrali, wydaje się ustanowienie praw, zamykających przed żydami to pole zarobku, na którem okazali się niebezpieczni. Ale zachodzi pytanie: czy droga ta jest także najlepszą i najbezpieczniejszą? Zarówno logika, jak praktyka nie pozostawiają żadnej pod tym względem wątpliwości, że sam zakaz celu nie osiąga. Jakkolwiek żydzi mają dziś otwarte wszystkie dziedziny zarobkowania, ciemna ich masa nie zmieni się na skinienie prawa, nie porzuci ścieżek tradycyą utorowanych, nie poczuje chęci do tej niwy, której rękami swemi nie uprawiała. Ona będzie usiłowała wszelkiemi siłami utrzymać się przy tych gałęziach handlu, z których dotąd zrywała najobfitsze i najpożywniejsze owoce. Gdy zaś droga jawności będzie zamknięta, co pozostanie? Podstęp. Do niego żydzi, wydziedziczeni z karczem, uciekną się niezawodnie, tak jak uciekali się dotąd. I dziś u nas nie mając prawa utrzymywania szynków po wsiach, trzymają je bezpiecznie pod imieniem włościan, których do podstawienia zawsze sobie znajdą. Obostrzenie zakazu w tym względzie nauczy ich tylko lepiej okrywać swe operacye, ale wcale od nich nie odciągnie. Gdyby nawet uchwały biegłych, wyświecające żyda z karczmy, sta-

ły się prawem, będzie on w niej siedział, tylko lepiej może niż dotąd schowany. Sam więc zakaz celu nie osiągnie, jeżeli go nie wesprą, albo raczej nie zastąpią inne, skuteczniejsze środki. Jakie? Na to właśnie pytanie odpowiadają nam zgodnie zarówno surowy względem żydów Staszyc, jak i łagodny Czacki, obaj wskazujący główny ratunek — w oświacie.

I ta więc sprawa społeczna, jak wiele innych, wyszedłszy z karczmy, prowadzi nas ostatecznie do szkoły. Tam rozwiążą się wszystkie, a przynajmniej najważniejsze węzły i węzełki kwestyi żydowskiej. To też według nas, nie powinna ona była wejść nawet częściowo w program zgromadzenia, obradującego nad ograniczeniem pijaństwa, które ją zawsze musiało oceniać jednostronnie, lecz stanowić przedmiot osobnej komisyi, która świeżo powołaną została. Biegli, patrząc ze swego ograniczonego stanowiska, zdecydowali, ażeby żydów (talmudystów) usunąć od handlu wódką. Zamiast tego zakazu, który, jak rzekliśmy, pozostanie bezsilnym, wolelibyśmy inne, daleko rozleglejsze prawo, niszczące talmudystów za pośrednictwem szkoły. Gdy upadną wszystkie prawne ubezpieczenia odrębności żydowskiej, niekontrolowane i samorządne chedery, kachały, gminy i tym podobne instytucye, odrywające masę izraelską od społeczeństwa, w którem ona tkwi nieprzyrośnięta — wtedy niepotrzeba będzie wydawać żadnych ustaw wyjątkowych, które już przez to samo, że są wyjątkowe, dostatecznego uzasadnienia moralnego nie mają. „Nie szukamy w prawach surowości przeciwko żydom, alę pilnować należy, aby nie byli w mocy nas obdzierać" — mówili kozacy do Jana Kazimierza, a głos ten odezwał się również w zgromadzeniu biegłych. Słusznym on jest w zasadzie, ale mylnym co do środków, gdyż samo usunięcie żydów z karczem nie odbierze im „mocy obdzierania" ludu.

Żaden poważny badacz, rozmyślający nad uśmierzeniem zbrodni, nie będzie się wahał w wyborze pomiędzy karzącą szubienicą a umoralniającą szkołą i przeniesie ostatnią nad pierwszą. Ten tylko system może osiągnąć dodatnie skutki, który usiłuje okiełznać naturę ludzką wewnętrznie, nie zaś zewnętrznie. Każdej reformie winno iść o to, ażeby żyda nie było, ażeby on nie dążył do karczmy i tam kieszeni ludu nie rabował, nie zaś oto, ażeby go do niej nie puścić. Jeżeli on będzie takim, jakim jest, zawsze do niej się dostanie: gdy zamkniemy drzwi, wlezie oknem, spuści się kominem lub wczołga podkopem. Niech więc żydom, na równi z chrześcianami, będzie wszystko wolno; tylko niech im nie będzie wolno być narodem w narodzie, masą ciemną, odmienną, wszystkiemi formami życia odosobnioną, posiadającą warunki samodzielnego istnienia bez obowiązku ulegania rozwojowi ogólnemu. Oto jest jedyny zakaz, który może uczynić żydów nieszkodliwymi, tak jak uczynił ich w tych sferach, gdzie są użytecznymi obywatelami kraju i dla nikogo rozumnego nie stanowią „kwestyi." Dzięki temu zakazowi, żyd wypuszczony ze szkoły będzie omijał karczmę.

PROCES O PARCELACYĘ.

Na skromny głos nasz w „Przegranej sprawie" odpowiedziały dwie namiętne elegie dwu piór rozbrykanych — w *Wieku* i *Korespondencie Płockim*. Ponieważ spór nasz nie odbywa się w sejmie, gdzie prezydujący dla utrzymania godności rozprawy przywołałby niezawodnie moich przeciwników do porządku, więc muszę sam wymierzyć rygor parlamentarny.

Oświadczyłem się za parcelacyą rolną, odezwali się ludzie, broniący własności większej. Jaki w różnicy tych poglądów może tkwić powód dla jednej lub drugiej strony do wzajemnego pryskania sobie w oczy błotem? Pytanie to i mnie obowiązuje, więc proszę czytelnika o przejrzenie 44 n-ru *Prawdy* i wytknięcie, jakich użyłem słów, które p. Ig. Kw. w *Wieku* upoważniły do zarzutu, że „szkalowałem obywateli ziemskich" i gdzie kryje się podkreślone przez niego wyrażenie: *kasta obywatelska?* Zagadkę tę rozwiązuje mi jedynie wzmianka szan. oponenta o ludziach, którzy „wypisać się nie potrafią." Przez wzgląd na to przypuszczam, że panu K. pióro posunęło się w inną stronę, niż je poprowadzić zamierzał. Dowodzenie bowiem, że drobienie się własności większej jest pożyteczne dla kraju, nie stanowi jeszcze „szkalowania obywateli ziemskich." Niestety, naiwniejsi śród nich pragnęliby utrzymać dla siebie prawo propinacyi pochwał w literaturze i za obrazę całego stanu poczytują uznanie dla spełniającego się z siłą konieczności, całkiem prawidłowego procesu społecznego. Czy owa tak opłakana parcelacya rolna jest gwałtem zadanym własności większej? Czyż obrona jej jest podszczuwaniem wygłodzonych żołądków na syte? Bynajmniej. Nikt obywateli nie wywłaszcza z ziemi, nikt im jej gwałtem nie odbiera; jeżeli więc oni ją sprzedają, drudzy kupują, a ktoś trzeci to chwali, pytam gdzie tu występek, a chociażby tylko „szkalowanie." A może p. Ig. Kw. chciałby, ażebyśmy posiadaczów własności większej, wyzuwających się z roli dobrowolnie, żegnali wiwatami na cześć ich poświęcenia i przekleństwami „na zdemoralizowany od czasu uwłaszczenia ludek?" To nieco za wiele, i trudno o dzikszą pretensyę. Pan sobie hula, gospodarstwo zapuści, majątek obdłuży, ziemię chłopom rozprzeda i tenże sam pan żąda, ażeby prasa opłakała jego nieszczęście i pogrzebała obywatelstwo z honorami a owych chłopów napiętnowała. Zaiste charakterystycznem jest to nasze (nieszkalujące) traktowanie ludu. W uwłaszczeniu go p. Kw. nie widzi nic więcej, tylko demoralizacyę. Pod batogiem ekonoma, w jarzmie pańszczyzny, na łasce i niełasce dworu, był ów lud zacnym i poczciwym, teraz usamowolniony, stał się zepsutym. Ze splątanego motka „uczciwych" żądań społecznych chciałbym raz ujrzeć wysnutą nić, któraby mi wskazała, czego my właściwie w stosunkach rolnych słusznie pragnąć mamy? Gdy gospodarstwo większe upa-

---

Pieśń tryumfującej miłości

(MDXLII)

przez

I. Turgeniewa.

Pamięci Gustawa Flauberta

„Wage Du zu irren und zu träumen."

Schiller.

Oto, com wyczytał w starym rękopisie włoskim:

W połowie, mniej więcej, szesnastego stulecia mieszkało w Ferrarze (kwitnącej wówczas pod berłem swych wspaniałych książąt, opiekunów sztuk i poezyi) dwu młodzieńców: Fabiusz i Mucyusz. Rówieśnicy, blizcy krewni, nie rozłączali się prawie nigdy; przyjaźń serdeczna złączyła ich od dzieciństwa... podobieństwo losu wzmocniło ten związek. Obaj należeli do starożytnych rodów, obaj byli bogaci, niezależni, pobożnej rodziny; obaj mieli jednakowe upodobania i skłonności. Mucyusz zajmował się muzyką, Fabijusz — malarstwem. Cała Ferrara pyszniła się nimi, jako najlepszą ozdobą dworu, społeczeństwa i miasta. Zewnętrznie jednak nie byli do siebie podobni, jakkolwiek obaj odznaczali się harmonijną, młodzieńczą pięknością; Fabiusz był wzrostu wyższego, twarz miał białą, włosy — płowe, a oczy — niebieskie; Mucyusz, przeciwnie, twarz miał śniadą, włosy — czarne, a ciemne jego oczy nie posiadały tego blasku wesołego, na wargach jego nie błąkał się ten ponętny uśmiech, który zdobił Fabiusza. Jego brew gęsta spuszczała się na wązką powiekę, gdy tymczasem złociste brwi Fabiusza cienkimi łukami gięły się na czystem i równem czole. Mucyusz też mniej był ożywiony w rozmowie; pomimo to jednak obaj przyjaciele zarówno podobali się damom; nie darmo bowiem byli wzorami rycerskiej uprzejmości.

Współcześnie z nimi mieszkała w Ferarze dziewica, imieniem Walerya. Uważano ją za jedną z pierwszych piękności miasta, chociaż widywać ją było można bardzo rzadko, ponieważ życie pędziła odosobnione i z domu wychodziła tylko do kościoła, na przechadzkę zaś tylko w większe święta. Żyła przy matce swej, szlachetnej lecz niebogatej wdowie, nieposiadającej więcej dzieci. W każdym, który tylko ją spotykał, budziła ona uczucie mimowolnego podziwu i również mimowolnego, delikatnego poszanowania: tak skromną była jej postać, tak mało, jak się zdawało, posiadała świadomości o całej sile swoich wdzięków. Niektórzy, co prawda, uznawali ją za zbyt bladą; oczy jej, prawie zawsze spuszczone, zdradzały pewnego rodzaju zaściankowość, a nawet bojaźliwość; wargi jej rzadko i zlekka tylko układały się do uśmiechu, głos zaledwie był słyszalny. Ale krążyła pogłoska, że był piękny i że Walerya, zamknąwszy się w swej izdebce, rankiem, kiedy całe miasto jeszcze drzemało, lubiła wyśpiewywać stare piosenki przy dźwiękach lutni, na której sama grała. Pominąwszy bladość twarzy, Walerya kwitnęła w zdrowiu. Nawet starcy, spoglądając na nią, nie mogli nie pomyśleć sobie: O, jak szczęśliwy będzie ten młodzieniec, dla którego otworzy zwinięte jeszcze swoje listki ten niektnięty, dziewiczy kwiatek!

Fabiusz i Mucyusz ujrzeli po raz pierwszy Waleryę na wspaniałem święcie ludowem, urządzonem z polecenia księcia Ferrary, Ercola, syna znakomitej Lukrecyi Borgii na cześć dostojnych magnatów, którzy przybyli z Paryża, zaproszeni przez księżnę, córkę Ludwika XII, króla Fran-

da — źle, gdy przechodzi w ręce obce — źle, gdy rozdrabnia się na mniejsze — źle; więc co jest dobrem? „Nie trzeba się *dziwić* tym — powiada p. Kw. — którzy w wieku podeszłym, nie mogąc się ostać przy nowym porządku rzeczy, nie mogąc się pogodzić z nowemi prawami, sprzedali majątki, które pod ich zarządem odpowiednich zysków nie przynosiły, i zamienili je na kamienice." Więc tym bohaterom, którzy tak mężnie losy kraju dźwigają, nawet dziwić się nie trzeba," a trzeba się dziwić tym, którzy przejście owych majątków w ręce drobnych właścicieli uznają? Skąd ta logika rodem? Wynalazł ją ktoś, kto bredził w malignie, z trzeźwymi się spierając.

Nic na tem nie straci nasza miłość własna, jeżeli pominąwszy „bezrogie" koncepty, którymi p. Agricola bóść nas usiłuje w *Korespondencie Płockim*, przystąpimy odrazu do rzeczy. Autor, najeżywszy się przeciw naszemu twierdzeniu, że żywioł ziemiański nie stanowi głównego przedstawicielstwa narodowego, odpiera je nader łatwym sposobem. Oto po prostu przekreśla wszystkie inne pierwiastki społeczne i kontent jest niezmiernie, że mu pozostała ta reszta, którą dla zbawienia świata zachować pragnie. Lud ciemny, klasa miejska nieliczna (!) i w znacznej części obca, urzędnicy — to kółka mechaniczne, literaci—to mózg, ale „myśl potrzebuje zastępów sił (?) do jej ucieleśnienia," więc gdy po parze tych gatunków wsadzimy do arki pod sterem p. Agricoli, z jakiej sfery ludzie otoczą Noego? Naturalnie obywatele-szlachta. I czemuż szanowny ten mąż nie ucieleśni swej myśli w statystyce, któraby nas przekonała cyframi, że lud, mieszczanie, urzędnicy wraz z garstką literatów są ilościowym lub jakościowym prochem wobec „ziemian!" Dotychczas bowiem sądziliśmy, że żywioły społeczne, wchodzące w skład klasy średniej, liczebnie i duchowo, stanowią daleko większą potęgę. Ale zapomnijmy o tym błędzie, przestańcie wy: kupcy, przemysłowcy, lekarze, adwokaci, technicy, leśnicy, oficyaliści rządowi i prywatni— przestańcie łudzić się swoją wartością, bo oto przyszedł na świat mesyasz, który nam zapowiada ludzi *nowych*. „Nie wyjdą oni z ludu, bo lud ich jeszcze wydać nie może; wyjdą więc z tej części ziemian, która dotąd stała na uboczu, pracując w ukryciu na chleb i naukę, mając za hasło oszczędność i pracę. Oni przechowają święty znicz narodowości i podsycać go będą dopóty, dopóki lud nie dojdzie do samowiedzy i nie złączy się z nimi w pojęciach." To zwiastowanie p. Agricoli nabawia nas kilku kłopotów. Mianowicie: a) co, wobec wyraźnego zakazu powyższej ewangelii, zrobić z szeregiem synów chłopskich, robotniczych, drobnoszlacheckich, którzy już wyszli z łona ludu i przechowują „święty znicz narodowości" jako lekarze prawnicy, nauczyciele, i t. p.? b) jakim sposobem lud dojdzie do samowiedzy, jeżeli pp. Agricolowie będą go odpędzali od parcelacyi? c) kiedy nadejdzie owa błogosławiona chwila, w której wystąpią na czoło naszego narodu owi przewodnicy, stojący dziś skromnie „na uboczu?" Zanim uwierzymy objawieniu, radzibyśmy wiedzieć coś pewniejszego nadto, że „żyjemy jeszcze w epoce przejściowej," zwłaszcza że ci, którzy na nic zdobyć się nie mogą, zdobywają się zwykle na usprawiedliwienie „epoką przejściową."

Jakkolwiek pp. Ig. Kw. i Agricola widzą w poglądzie naszym na drobienie się własności ziemskiej kosę, którą pragnęlibyśmy zgładzić „wszystkie folwarki," tak okrutnych pożądań nie mamy. Nie uznając zbyt wielu budujących przykładów śród własności większej, uznajemy liczne objawy uczciwości, pracy i wiedzy śród średniej i drobnej, nie czujemy zaś żadnej racyi odsuwać od przedstawicielstwa i roli w rozwoju narodowym żadnego żywiołu, który do pierwszego ma prawo a do drugiego się przyczynia. Nie sądzimy jednak, ażeby ta klasa posiadała wyłączny przywilej piastowania ideałów społecznych i ażeby rozłamywanie się wielkich posiadłości zaciskało nam ręce rozpaczą. Jaki będzie ostateczny wynik procesu przekształceń rolnych, nie wiemy lub prorokować nie chcemy; to jednak pewna, że w warunkach obecnych rozszerzanie się własności drobnej daleko donioślejszą zapewnia korzyść krajowi, niż martwe skupianie wielkiej. Pod mianem *drobnej* nie pojmujemy naturalnie „morgowej," jak to w pogoni za niedorzecznym przygryzkiem przypuszcza p. Agricola. Pomiędzy 1 morgą a 1,000 lub 3,000 istnieje jeszcze bardzo wiele stopni, na których doktorowie filozofii częściej się rodzą, niż na obszarach wielkopańskich kluczów. Ażeby zaś uspokoić szan. proroka o przyszłą prenumeratę *Prawdy*, winniśmy go zapewnić, że ona tylu ma abonentów śród jedno, ilu śród tysiącomorgowych. Między zaś tymi kresami posiada dziś i posiadać będzie więcej czytelników, niż trybunał płocki, do którego p. Agricola wniósł swą „apelacyę."

Drwęcki.

Z FRANCYI.

Paryż, dnia 16 listopada.

Kuryer Paryski. — Veto prawomyślności i jej zwykłe rogatki. — Monopol dla augurów zniesiony. — Zbytek obawy. — Przewietrzanie starych godeł w *Kuryerze*.— Warunek urzędowania w Raperswillu. — Zamknięcie wystawy elektrycznej. — Nowy gabinet. — Reforma sądownictwa.

Pewny jestem, że kiedy Mickiewicz we wstępie do *Pana Tadeusza* wypowiedział słowa, które później stały się punktem wyjścia dla całych secin korespondentów, kronikarzy, feljetonistów i t. d., myśl tę nasunął mu nie brak treści, ale trudność wyboru.

Ażeby wszakże nie marnować zapłaconego przez czytelników papieru długą skargą na kłopotliwy temat: „o czem tu pisać na paryskim bruku?"—zajmę się bez wstępu sprawą *Kuryera Paryskiego*. Już kilka razy czytając wybuchy prawomyślnych uniesień w różnych poznańskich i warszawskich narządach (spolszczenie „organu" — podobno w Warszawie taki teraz duch panuje) opninii publicznej, chciałem powiedzieć im na to: panowie, odrobinkę zastanowienia! Na pierwszy rzut oka trudno nawet zrozumieć, co właściwie mają oznaczać te gorące protesty prze-

---

cyi. Tuż obok swej matki siedziała Walerya, w środku pięknej trybuny, wzniesionej podług rysunku Palladyusza na głównym placu Ferrary dla wybitniejszych jej niewiast. Obaj — Fabiusz i Mucyusz — dnia tego zakochali się w niej namiętnie; a ponieważ nie ukrywali nic przed sobą, każdy z nich przeto wnet się dowiedział, co się działo w sercu towarzysza. Postanowili obaj zbliżyć się do Waleryi; jeśli zaszczyci jednego z nich swoim wyborem, drugi bez szemrania podda się jej wyrokowi. W kilka tygodni później, dzięki dobrej sławie, której słusznie używali, udało im się przeniknąć do niedostępnego prawie domu wdowy, która pozwoliła im odwiedzać Waleryę. Odtąd prawie codziennie mogli ją widywać i rozmawiać z nią, a z dniem każdym ogień, zapalony w sercach obu młodzieńców, coraz silniejszym gorzał płomieniem. Jednakże Walerya nie wyróżniała żadnego z nich, jakkolwiek obecność ich widocznie jej się podobała. Z Mucyuszem zajmowała się muzyką, ale rozmawiała więcej z Fabiuszem: mniej go się jakoś lękała. Wreszcie postanowili dowiedzieć się ostatecznie o swoim losie i wysłali do Waleryi list, w którym prosili ją o wyjaśnienie, komu gotowa jest oddać swoją rękę. Walerya pokazała go matce i oświadczyła, że pragnęłaby wytrwać jeszcze w panieństwie; jeśli wszakże matka uważa, iż nadszedł dla niej czas zawarcia związków małżeńskich, wyjdzie za tego, na którego padnie jej wybór. Szanowna wdowa uroniła kilka łez na myśl o rozłące z ulubionem dzieckiem, wszelako do odmowy kochankom nie znajdywała przyczyny: uważała obu za równie godnych ręki jej córki. Lecz w duszy przekładając Fabiusza i podejrzywając, że Waleryi także silniej on się podoba, jego wybrała. Nazajutrz Fabiusz dowiedział się o swem szczęściu, Mucyuszowi zaś pozostało dotrzymać swego słowa i — ukorzyć się.

Tak też uczynił. Ale być świadkiem tryumfu swego przyjaciela, swego spółzawodnika — nie zdołał. Wnet sprzedał większą część swego majątku, i zebrawszy kilka tysięcy dukatów, puścił się w daleką podróż na Wschód. Żegnając się z Fabiuszem, oświadczył mu, iż nie wróci, dopóki nie poczuje, iż zatarły się w nim ostatnie ślady namiętności. Ciężko było Fabiuszowi rozstać się z przyjacielem lat dziecińwstwa i młodości... ale radosne oczekiwanie blizkiego już szczęścia wkrótce pochłonęło wszelkie inne wrażenia. Oddał się cały zachwytom uprawnionej miłości. Wkrótce poślubił Waleryę i wtedy dopiero poznał całą wartość skarbu, jaki udało mu się posiąść. W pobliżu Ferrary posiadał piękną willę, otoczoną ogrodem cienistym; przeniósł się do niej z żoną i jej matką. Błogie dla nich nastały wtedy czasy. Pożycie małżeńskie wykazało w nowem, zachwycającem świetle wszystkie zalety Waleryi. Fabiusz stał się wybitnym malarzem, mistrzem, nie zaś prostym już amatorem. Matka Waleryi cieszyła się i dziękowała Bogu, spoglądając na szczęśliwą parę. Cztery lata przemknęły niepostrzeżenie, jak sen błogi. Na jednem tylko zbywało młodym małżonkom, jedno tylko dokuczało im straszenie: nie mieli dzieci... ale nie opuszczała ich nadzieja. Z końcem czwartego roku nawiedziło ich wielkie, tym razem prawdziwe nieszczęście: matka Waleryi umarła po kilkodniowej słabości.

Dużo łez wylała córka, przez długi czas nie mogąc się pogodzić ze swoją stratą. Ale minął rok jeszcze, życie znowu odzyskało swoje prawa i popłynęło dawniejszem korytem. Nagle, pewnego pięknego wieczoru letniego, nie uprzedziwszy nikogo, powrócił do Ferrary Mucyusz.

Przez ciąg lat pięciu, które minęły od chwili jego wyjazdu, nikt o nim nic nie wiedział; wszelkie o nim wieści umilkły, jak gdyby znikł z powierzchni ziemi. Gdy

ciwko istnieniu polskiego pisma w Paryżu. Wszak niemcy wydają dzienniki w Petersburgu, francuzi — w Wiedniu, a my sami dotąd jeszcze cieszymy się istnieniem polskich gazet w Nowym Yorku i Chicago. Więc nie chodziło o fakt, bano się tendencyi, kierunku, myśli, którą spodziewano się ujrzeć na szpaltach *Kuryera*. Już to wątpić należy, czy w jakiejkolwiek literaturze objawia się tak często i zuchwale, jak w naszej, otwarta chęć duszenia wolnego słowa w więzach partyjnych zawiści i wyznaniowych przesądów.

Jeszcze nieznany był kierunek i zamiary redakcyi *Kuryera*, pierwszy numer był zaledwie przygotowany do druku, kiedy już jeden z warszawskich tygodników rzucał nań gromy potępienia. Jednocześnie z przyjściem pisma na świat powstały krzyki: Nie chcemy, nie pozwalamy, nie macie prawa!

Dlaczego? Kto nadał prawa jednym, a drugim je odebrał?

Nie rozumiem doprawdy, czy tu mówiła naiwność, czy zbytnia dbałość o własną skórę. Zapewnie pierwsza, tylko już zbyt daleko posunięta.

W całym owym wybuchu brzmi jeden głównie argument: „Wy nas prowadzicie do zguby i dlatego nie macie prawa mówić.“ Ile w tym jednym wykrzykniku niekonsekwencyi, niezrozumienia rzeczy, no, i prostoty ducha! Czyż taka racya może trafić do przekonania tych, którzy stoją na przeciwległem stanowisku? Nasi przewodnicy w drodze do doczesnego szczęcia wyrobili sobie jakieś zbyt skromne pojęcie o świadomości ogółu; zdaje im się, że należy go okarmiać jedną tylko papką, bo niechby go zaleciała choć z daleka woń innej, ów ogół zaraz by się nią otruł.

Jeżeli tak jest, jeżeli społeczeństwo nasze rzeczywiście jest pozbawione wszelkiej samodzielności i w życiu swojem błąka się na oślep za każdym ostatnio spotkanym ognikiem, to niewiele mu pomoże tych kilkanaście szpalt objaśnienia, które otrzymuje codziennie i tygodniowo za swoje ruble, marki i guldeny z nieomylnych redakcyj. Myślę, że wtedy tylko pewien kierunek przyniesie korzyść, kiedy przeszedł przez ogień walki. Należy walczyć z każdą myślą, jeżeli uważamy ją za zgubną, ale po co zaraz stawiać rogatki, po co walić obuchem wymysłów?

My mamy po za sobą niezbity dowód wiekowej praktyki — powie mi ktoś:

Boże drogi — jaki program, jakie przekonanie nie ma na swoje usprawiedliwienie takich twardych argumentów. Ale, niestety, nie do wszystkich logik one jednakowo przemawiają.

Zresztą, panowie, doprawdy przesądzacie znaczenie waszego wpływu i wogóle literatury.

Gdybym był redakcyą *Kuryera*, to na wszystkie takie wystąpienia, zamiast rozwodzenia się długiego i gubienia w historycznych dowodach, odpowiedziałbym tylko: „My tak chcemy, chcemy pracować dla społeczeństwa, do którego tak samo należemy jak i wy, a jużci kierować nami będą nasze przekonania, a nie czyjeś pomysły lub obawy.“

Kuryer jednak nie lubi zwięzłości, on wolał z archeologicznych muzeów powyciągać zużyte pociski i wystrzelać je aż do zmęczenia... siebie.

Ktoś, złudzony biciem na gwałt w dzwony prawomyślnie, gotów wyobrazić sobie pismo to pod postacią jakiegoś typu z komuny—w połamanym kapeluszu, z rozczochraną brodą, z butelką nafty w kieszeni i z dynamitem w ręku. W imię prawdy wzywam was, zamażcie ten obraz w swojej pamięci, *Kuryerowi* należy się postać kiepskiego klechy. Rozbierać jego kazań, walczyć z nim niepodobna; stoi on bezpieczny po za granicami wszelkiej krytyki. Główną jego cechę stanowi to, że gdyby nie dosyć często powtarzane słowa: „pozytywizm, nihilizm,“ niepodobna byłoby się domyśleć, do którego dziesiątka lat należy odnieść ten płód niedołęstwa.

Ruch czasu, rozwój wiedzy i cywilizacyi wcale nie wpłynął na szanownych redaktorów; dziewicze ich umysły z zawartości swojej należą do okresu 1815—30 r. Kierunek pisma i styl niektórych artykułów każe się domyślać udziału w nim pana G., ponieważ jednak w galicyjskich i poznańskich gazetach wyparł on się tego, więc nie wolno mi go publicznie posądzać. Ale wolno zanotować żywy udział w wydawnictwie byłego współpracownika *Ruchu literackiego*, Nadbużanina. Pseudonim to znany w całej Galicyi, znowu jednak wzgląd przyzwoitości dziennikarskiej zamyka mi usta. Bądź co bądź, pokrewieństwo duchowe pomiędzy *Ruchem literackim* p. G. i *Kuryerem* jest widoczne i nikomu nie tajne. A znowu p. Reit, niewątpliwy wydawca, pchany przez niepodobne do urzeczywistnienia powołanie literackie, upewnia wszech wobec w *Kuryerze* i każdego znajomego oddzielnie, że „on“ jest tam wszystkiem.

Czyjkolwiek duch jednak panuje w tym ciemnym świecie, jest on anachronizmem czasów swego zmartwychwstania. Bo, jak dawno wiadomo, historya się nie powtarza; temu, co umarło, można postawić pomnik, ubrać w kwiaty, ze łzami w oczach modlić się lub wspominać, ale nie należy wyciągać zwłok z mogiły, aby ich widokiem przywabiać żywych ludzi. Jak nie wielu pojęło, że nie zdradzając starych sztandarów, można je odświeżać ciągle nowemi godłami! Jaki obłęd sprzymierzać się z tem, co nie żyje i nie ożyje!

A takim właśnie obłędem natchnieni są kierownicy *Kuryera*. Nie rozumieją oni wcale ani epoki, ani swego narodu, ani jego przyszłości. To też ogół polaków, zamieszkałych za granicą, zupełnie obojętnie zachował się względem nowonarodzonego suchotnika.

Redaktorzy *Kuryera Paryskiego* zapominają jeszcze o jednym względzie. Są myśli, są hasła, które powtarzane gdzieś w głębi serca mają ogromne znaczenie i mogą pobudzać do wielkich czynów; gdy je wszakże wywleczemy na wierzch i z automatyczną prawie bezmyślnością powtarzać zaczniemy we wszystkich broszurach, na wszystkich stronnicach pisma, nietylko tracą swoje znaczenie, ale nawet osłabiają siłę wewnętrznych głosów. Gdyby ktoś pokrajał papier na kawałki, na oddzielne zdania, i z ich kombinacyj narobił artykułów do jakiegoś pisma, to nawet najpobożniejsi ludzie, tacy, którzy z zachwytem religijnym odmawiają poranne i wieczorne modlitwy, co najmniej znużyliby się tym świątobliwym, w regularnych dawkach odmierzanym roztworem.

W dopisku do tego może nieco przydługiego, ale dla uspokojenia obaw prawomyślności potrzebnego wspomnienia o *Kuryerze* dodać winienem, że p. Władysław Plater, broniąc od zarzutów nihilizmu siebie i p. G., z powodu podejrzywania go o udział w tem piśmie, oświadcza, iż od urzędników swoich wymaga koniecznie, aby byli dobrymi katolikami. Nie wątpimy.

Przejdźmy do spraw obcych i... poważniejszych.

Wystawa elektryczności zostanie zamknięta we czwartek lub w piątek t. j. 17 lub 18 listopada. Dziś, we środę wejście bezpłatne. Przedsiębiorcy chcą uraczyć lud. Szkoda tylko, że w nowożytnych *circenses* może on uczestniczyć nader homeopatycznie. Jeden wieczór dla biednej ludności w Paryżu, to jałmużna skromna! Po sprawozdaniach specyalisty, pomieszczonych w waszem piśmie, zwykły spostrzegacz może zrzec się głosu.

Bardziej niż wystawą, dzienniki są za-

Fabiusz spotkał swego przyjaciela na jednej z ulic Ferrary, omal nie krzyknął, naprzód z przestrachu, następnie z radości—i wnet zaprosił go do swej willi. Tam w ogrodzie znajdował się oddzielny pawilon mieszkalny; zaproponował więc swemu przyjacielowi, aby go zajął. Mucyusz chętnie przystał i tego samego dnia przeniósł się do niego z swym sługą, niemym malajczykiem — niemym lecz nie głuchym a nawet, wnosząc z bystrego jego wzroku, człowiekiem bardzo rozgarniętym... Język miał wycięty. Mucyusz przywiózł z sobą dużo kufrów, naładowanych rozmaitemi kosztownościami, które zebrał na długoletniej swej wędrówce. Waleryę uradował powrót Mucyusza; on także powitał ją wesoło, poprzyjacielsku, ale spokojnie: wszystko świadczyło, że dotrzymał słowa, danego Fabiuszowi. Wciągu dnia zdążył zagospodarować się w swym pawilonie; przy pomocy malajczyka wydobył przywiezione rzadkości: dywany, tkaniny jedwabne, odzież aksamitną i płócienną, broń, puchary, naczynia i kubki, przedmioty złote i srebrne, ozdobione perłami, skrzynki rzeźbione z bursztynu i słoniowej kości, butle szlifowane, korzenie, kadzidła, skóry zwierzęce, pióra ptaków nieznanych i mnóstwo innych przedmiotów, których użytek nawet wydawał się tajemniczym i niepojętym. W liczbie wszystkich tych kosztowności znajdował się bogaty naszyjnik perłowy, który otrzymał Mucyusz od szacha perskiego za pewną wielką i tajemną usługę. Poprosił więc Waleryę, aby mu pozwoliła własnoręcznie włożyć go na jej szyję: zdał jej się ciężkim i obdarzonym dziwnem jakiemś ciepłem... przylgnął też do ciała. Pod wieczór, po obiedzie, na tarasie willi, siedząc w cieniu oleandrów i wawrzynów, Mucyusz jął opowiadać swe przygody. Mówił o krajach odległych, które zwiedził, o górach sięgających pod obłoki, pustyniach bez wody, o rzekach, przypominających morze, o gmachach olbrzymich i świątyniach, o tysiącletnich drzewach, kwiatach tęczowych i ptakach; wymieniał miasta widziane i narody... coś bajecznego wiało od samych ich imion. Mucyusz znał wschód cały: objechał Persyę, Arabię, gdzie konie są szlachetniejsze i piękniejsze od wszystkich innych stworzeń żyjących, dotarł do głębi Indyj, gdzie ród ludzki podobny jest do roślin wspaniałych, dosięgnął granic Chin i Tybetu, gdzie żywy bóg, imieniem Dalaj-Lama, zamieszkuje ziemię w postaci milczącego człowieka o wązkich oczach. Cudowne byłyjego opowiadania! Jak oczarowani słuchali ich Fabiusz i Walerya. Właściwie, rysy twarzy Mucyusza mało się zmieniły: twarz śniada od dzieciństwa, ściemniała jeszcze bardziej, ogorzała pod działaniem promieni jaśniejszego słońca; oczy zapadły, jak się zdawało, głębiej niż poprzednio — ot wszystko. Ale wyraz tej twarzy się zmienił:ześrodkowana, poważna, nie ożywiała się nawet wówczas, gdy wspominał o niebezpieczeństwach, na które się narażał, w nocy, w lasach rozbrzmiewających wyciem tygrysów lub dniem, na pustych gościńcach, gdzie podróżników podpatrują upiory, które duszą ich na cześć żelaznej bogini, żądnej ofiar ludzkich. Głos Mucyusza także przycichł i wyrównał się; ruchy rąk, całego ciała straciły swobodę, właściwą plemieniu włoskiemu. Przy pomocy swego sługi, niewolniczo zręcznego malajczyka, pokazał swym gospodarzom kilka sztuczek, których go wyuczyli bramini indyjscy. Tak np. zakrywszy się naprzód kotarą, ukazał się nagle w postawie siedzącej, w powietrzu, z podłożonemi nogami, zlekka opierając się końcami swych palców o prostopadle ustawioną trzcinę bambusu, co niepomało zdziwiło Fabiusza, a nawet przestraszyło Waleryę... Może to czarnoksiężnik? — pomyślała sobie. A gdy zaczął wywoływać z kosza, wygwizdując na maleńkim fleciku, żmije oswojone, gdy,

jęte sądzeniem nowego gabinetu. Stronnicy Unii Republikańskiej nazywają go „wielkim,“ radykalni — „miernym.“ Obie nazwy były do przewidzenia. Jakikolwiek byłby skład nowego ministerium, zdania obu partyi byłyby niezmienione. Paryżanie zdołali ułożyć nieuniknione w podobnych wypadkach *bon mot*: mówią, że to „le cabinet des camarades.“ Ma to oznaczać dobre stosunki, łączące nowych ministrów między sobą i z członkami większości Izby, którzy mogą sobie powiedzieć o rządzie: „ce sont notres camarades.“ Niezależnie od przygryzków i dowcipów, to pewna, że Francya doczekała się przecie jednolitego ministerium z wybitnym programem. Będą w niem zasiadali ludzie wprawdzie dotąd niezbyt znani (oprócz jednego), ale za to zyska on przez taki dobór na jednolitości, sprężystości, sile. Najbardziej znaną tam osobistością jest p. Paweł Bert, minister oświaty. Opozycya prawa i lewa wyjmuje go z pod ogólnego potępienia. Jest to znany w świecie naukowym fizyolog i antropolog, profesor z Sorbonny, w której jeszcze wczoraj miał wykład. Na polu politycznem dał się poznać, jako zacięty wróg jezuityzmu i udziału duchwieństwa w szkole. Jest on o wiele pod tym względem radykalniejszy od swego poprzednika i można się spodziewać, że wywrze korzystny wpływ na systemat nauczania we Francyi.

Pod tchnieniem Gambetty ożył również (odziedziczony z poprzedniego gabinetu) Casot, minister sprawiedliwości, który zamierza wystąpić z gruntowną odnową rudery sądowniczej. Projekt jego ma uprościć wymiar sprawiedliwości i uczynić go niemal bezpłatnym. Ta gałąź życia publicznego, przerośnięta rozmaitymi grzybami i pokręcona, wymagała od dawna starannego opatrzenia.

K. T.

W. KRESTOWSKIJ.

(Chwoszczyńskaja).

Petersburg, 18 listopada.

Pod przybranem imieniem *W. Krestowskij* ukryła się — jak wiadomo — kobieta, pani Chwoszczyńska, która świeci dziś na widnokręgu literatury rosyjskiej tak znakomicie, że zatrzymanie uwagi czytelników *Prawdy* na tej gwiaździe jest naszym obowiązkiem.

Nieszczęście chciało, aby przed dziesięciu laty zjawił się na arenie literackiej drugi W. Krestowskij, już nie pseudonim, lecz człowiek z ciała i kości, autor smutnej sławy *Tajemnic petersburskich* i innych powieści, najczęściej ku naszemu zachodowi zwróconych. Niespodziewane zjawienie się tego pana zniewoliło Chwoszczyńskę do zaznaczania raz na zawsze, że nazwisko jej jest przybranem.

Pierwsze utwory autorki zaczęły się ukazywać jeszcze w piątym lat dziesiątku. Pomimo to jednak od niedawnego stosunkowo czasu, bo mniej więcej od lat dziesięciu, krytyka zwróciła na nią baczniejszą uwagę, podnosząc ją dziś prawie jednogłośnie do godności najpierwszych beletrystów rosyjskich, a nawet zachodnich, i porównywając ją jako kobietę chyba tylko z Sandem lub Eliotem. Ostatnie zwłaszcza jej utwory, zebrane w jedną całość pod tytułem *Album* i pokrewne z nimi późniejsze, małe opowiadania, zyskały dla autorki uznanie w najszerszych kołach krytyki i publiczności. Dziwnem się może wyda to spóźnienie uznania dla talentu płodnego od lat dwudziestu i to w Rosyi, gdzie, bądź co bądź, ruch literacki nie jest jeszcze zbyt obfity. A jednakże do pewnego stopnia da się to wytłomaczyć zarówno rodzajem umysłu i twórczości pisarskiej, p. Ch., jako też okolicznościami jej czasu i sfery. Talent jej nie zajaśniał odrazu barwnie i szeroko; oddalony od ognisk życia umysłowego, od stolic, świecił długo bladym promykiem w zapadłym kącie prowincyi, w której też pozostał przez całe życie. Sfera spostrzegania była więc dość ograniczona i jednostajna; potrzeba było wiele pracy wewnętrznej, wiele rozmyślania, aby szerokość obrazów zastąpić ich energią skupioną i głębią, okraszając je przytem pięknem formy zewnętrznej. Taką też drogę wybrała sobie autorka, będąca rzadkim przykładem stopniowego wyrabiania się i samodzielnego rozwoju aż do lat 60, t. j. jej wieku obecnego. Warunki czasu, w którym zaczęła myśleć i czuć, niemało też wpłynęły na powolność kształcenia się, nakładając na nią, jak na wszystkich prawie rosyan dojrzewających pomiędzy końcem 5-go a ostatnimi laty 6-go dziesiątka, znamię nieokreśloności i bezbarwności. Działalność teorytyczna, idealistyczna utalentowanego pokolenia dziesiątka piątego posunęła, o ile mogła, społeczeństwo swoje po drodze postępu, w kierunku humanitarnym a spełniwszy swe zadanie, ustąpiła miejsca nowym pokoleniom. Smutny los jednak spotkał to, które nastąpiło bezpośrednio: rok 48-my wywołał reakcyę, zakreślającą ciasne granice nawet sferze teoryi i dążeń idealnych — bardzo dalekich od ziemi. Nieugięta siła opasała młode głowy i serca a pod jej naciskiem w wielkiej tajemnicy chyba zjawiały się blade, lękliwe widma myśli, bardzo niewinne, przebrane tak, że je trudno było poznać. Sympatyzowano z kierunkiem starszych, ale w oczekiwaniu lepszych czasów wstrzymano się od wszelkich poruszeń wyraźniejszych. Przyszły też lepsze czasy, ale już nie dla nich. Wówczas we wszystkich prawie sferach zawrzało silne i nowe życie, przyszły czasy swobodniejsze, zjawiła się młodzież nowa, blade pokolenie starsze poszło na jej spotkanie, wyciągając ręce, aby się stać łącznikiem pomiędzy nią a swoimi poprzednikami i powrócić w ten sposób swoje „zatrzymane życie.“ Lecz prądy nowe oddzieliły już zanadto głęboko te tak bliskie pokolenia, pozostawiając środkowe na bezdrożu.

Pani Chwoszczyńska nie mogła zatrzymać się na połowie drogi. Sympatyzując z poprzednikami, czuła ona, iż zadanie ich skończone, a chociaż z drugiej strony, chaos i rozdźwięk świata młodego raziły ją i nie pozwalały zlać się z nim zupełnie, szczerość jednak umysłu pozwoliła jej ocenić sprawiedliwie ten ruch gorący, wierzący w swoje ideały, w siebie, i połączyć się z nim dość ściśle. Nie czuła się ona jednak w całem znaczeniu cząstką ogólnej całości, zachowała charakter przybysza; to też jako autorka, nie mogła zająć w tym czasie wybitniejszego stanowiska. Młodsi ją wyprzedzili, nie talentem, lecz tendencyami. Chociaż rozwijała się ustawicznie, zawsze jednak nie mogła się uwolnić od śladów nieokreśloności swego pokolenia.

Ale zmiany w Rosyi następują szybko; skończył się karnawał 7-go dziesiątka a pani Chwoszczyńska, która weń wierzyła i usiłowała, o ile mogła, przyjmować w nim udział, dotąd opłakuje go i tęskni za nim „Drogie, krótkie, niedawne, a takie oddalone już czasy! — powiada ona — wspominamy o nich jak o dniu wiosennym, promienistym i burzliwym, po nim zaś znowu zmrok mglisty.“

Czasy te szczególnie zyskują w oczach autorki, zestawione z dzisiejszem usposobieniem masy społeczeństwa rosyjskiego, które poznaje ona przyjeżdżając czasami na dni kilka do stolicy. W uszach jej brzmi wówczas rozlegający się dokoła „śmiech nieufności, szyderstwa, zatajonego

---

poruszając żądłami, z pod pstrej tkaniny wychyliły się ich ciemne, płaskie łebki. Walerya wpadła w rozpacz i poprosiła Mucyusza, aby czemprędzej schował te wstrętne gady. Przy wieczerzy Mucyusz ugaszczał swych przyjaciół winem szyraskiem z okrągłej butelki o długiej szyjce; nadzwyczaj wonne i gęste, barwy złocistej, z odcieniem zielonawym błyszczało zagadkowo rozlane w kieliszkach kryształowych. Ze smaku nie było podobne do win europejskich; niezmiernie słodkie i tłuste, pite zwolna, niewielkimi łykami, wywoływało we wszystkich członkach wrażenie przyjemnej drzemki, omdlenia. Mucyusz skłonił Fabiusza i Waleryę do wypicia po kieliszku i sam go się napił. Nad kieliszkiem Waleryi, pochyliwszy się, wyszeptał coś i potrząsł palcami. Zauważyła to ona, ale ponieważ wogóle w obejściu Mucyusza, w całem jego wzięciu się zachodziło coś dziwnego i niebywałego, pomyślała tylko: „czy nie przyjął w Indyach nowej jakiej wiary, lub może tam zwyczaje takie?“ — Następnie, po chwilowem milczeniu, zapytała go, czy podczas swej podróży nie przestał się zajmować muzyką. Za odpowiedź Mucyusz rozkazał malajczykowi przynieść swe skrzypce indyjskie. Podobne były do dzisiejszych, tylko zamiast strun czterech miały ich trzy, wierzch obciągnięty był błękitnawą skórą wężową, cienki trzcinowy swyczek miał kształt półokrągły a na samym jego końcu błyszczał zaostrony dyament.

Mucyusz zagrał naprzód kilka rzewnych, jak twierdził, narodowych pieśni, dziwnych a nawet dzikich dla włoskiego ucha; dźwięk strun metalicznych był żałosny i słaby. Ale kiedy Mucyusz zaczął pieśń ostatnią— ten sam głos nagle nabrał mocy, zabrzmiał dźwięcznie i silnie. Melodya namiętna popłynęła z pod szerokich pociągnięć smyczka, popłynęła, wijąc się pięknie, jak owa żmija, co skórą swą pokrywała grzbiet skrzypiec. A takim ogniem, taką tryfumfującą radością błyszczała i płonęła ta melodya, że i Fabiuszowi i Waleryi słabo się zrobiło na sercu i łzy pojawiły im się w oczach... A Mucyusz z pochyloną i do skrzypiec przyciśniętą głową, z pobladłemi szczękami, z brwiami zsuniętemi w jedną linię wydawał się bardziej skupionym i poważnym, a dyament na końcu smyczka rzucał iskry promieniste, jak gdyby także rozpalił ogień tej dziwnej pieśni. Gdy Mucyusz skończył i wciąż jeszcze mocno przyciskając skrzypce brodą do ramienia, opuścił rękę, w której trzymał smyczek, Fabiusz wykrzyknął:

— Co to takiego? Coś ty nam zagrał? — Walerya nie wyrzekła ani słówka, ale zdawało się, że cała jej istota powtórzyła pytanie męża. Mucyusz położył skrzypce na stole, i zlekka potrząsłszy włosami, z grzecznym uśmiechem wyszeptał:

—To? Melodyę tę... tę pieśń usłyszałem raz na wyspie Cejlonie. Słynie ona wśród ludu jako pieśń szczęśliwej, zaspokojonej miłości.

— Powtórz — rzekł Fabiusz.

— Nie, tego powtórzyć nie można; zresztą teraz już późno. Signora Walerya musi odpocząć, i na mnie czas... zmęczyłem się.

Wciągu całego dnia Mucyusz obchodził się z Waleryą prosto lecz z poważaniem, jak dawny przyjaciel; ale odchodząc, ścisnął jej rękę mocno, nacisnąwszy palcami jej dłoń a tak uporczywie zajrzał w jej twarz, że chociaż nie podniosła powiek, poczuła jednak jego wzrok na rozpłomienionych nagle swoich szczękach. Nic powiedziała nic Mucyuszowi, nie oderwała ręki, a gdy się oddalił, spojrzała na drzwi, któremi wyszedł. Przypomniała sobie, jak dawnemi laty lękała się go także, a obecnie nie pojęć nie mogła. Mucyusz poszedł do swego pawilonu; małżonkowie udali się do sypialni. (D. c. n.)

gniewu, tryumfującego powodzenia, brudnego wesela, płaskiego dowcipu, pewnej siebie obojętności, nasyconego szczęścia, nikczemności — i znikczemnienia... Chciałoby się krzyczeć, chciałoby się wyspowiadać... przed kim? w jakich słowach? Tak się męczą niemi, tak się męczą żywi zasypani ziemią, słysząc jak ludzie przechodzą nad ich głowami, a żadne krzyki przywołać ich nie mogą.“

Oburzenie to jednak na masy nie wypływa wcale z właściwej ludziom starszym skłonności do nagany dla nowego porządku rzeczy. Pewne kierunki, pewne usiłowania dzisiejsze, wypływające wprost z poprzednich, znajdują silny oddźwięk w jej sercu i dają jej natchnienie do nowych utworów, zgodnych myślą z dążnościami lepszej części narodu, a formą coraz bardziej mistrzowsko wykończonych.

Większość ostatnich powieści pani Chwoszczyńskiej kreśli ciężar samotności wśród tłumu; na ten temat mniej więcej napisane są wszystkie prawie jej utwory, stanowiące zbiór pod tytułem ogólnym *Album*. Treść ich zwykle niewyszukana, budowa prosta, a nawet dość jednostajna, postacie wzięte zwykle ze sfery średniej, najczęściej z oddalonych i ciemnych zakątków prowincyi. Ze sferą tą ściera się w ten lub inny sposób bohater lub bohaterka powiastki, mający całkiem inne pojęcia i dążenia, a uczucia zawsze silnie rozwinięte. Postać taka występuje zwykle w roli ofiary typów czyhających na nią, wyzyskiwaczów lub głupców.

Dramatyczność położenia powiększa się jeszcze w skutek tego, że pomiędzy tą jednostką a otaczającymi ją osobami zachodzi lub zachodził stosunek bliski, że niegdyś osoby te żyły jednem życiem, związane były pomiędzy sobą wspólnością pewnych tradycyj, uczuć lub celów. Czas i inne okoliczności zmieniają ów stosunek i tembardziej krwawią serca.

Autorka używa często tego samego planu: bohater jej lub bohaterka wychodzą na czas pewien ze swej sfery, potem wracają, następuje spotkanie z dawniejszymi znajomymi przy zmienionych warunkach wewnętrznych i zewnętrznych, wywiązuje się walka, rozczarowanie, oddalenie i t. d. w rozmaitych formach. Taką w zarysach ogólnych jest treść opowiadań: *Ridniewa*, *U fotografa*, *Przed sądem* etc. Głębokość i prawda analizy psychicznej odznacza te utwory; kobiety zwłaszcza malowane są z nieporównanem życiem i wtajemniczeniem się w najrozmaitsze strony ich ducha.

To też ze wszystkich beletrystów, nie wyłączając nawet hrabiego Leona Tołstoja, słynącego ze swoich typów niewieścich, p. Chwoszczyńska stworzyła najświetniejszą tego rodzaju galeryę. Nie jest ona bynajmniej bezwzględną rzeczniczką swej płci; przeciwnie, widzimy u niej kobiety samolubne, puste, drobiazgowe, bezduszne, chorobliwie nerwowe, ale zarazem też występują podniosłe, kochające, zdolne do ofiar wszelkich. Mężczyźni są znacznie mniej typowi, fałszem wprawdzie nie rażą, ale też nie są charakterystyczni, pomimo iż autorka, nieodznaczająca się wogóle bogactwem fantazyi, stara się czerpać treść z życia. Niezawsze jednak udaje się jej uwolnić z pod naprzód zakreślonych ramek, tak że nieraz zbyt wybitna tendencyjność staje jej na drodze i zakrywa życie przed oczyma. Grzeszy więc ona czasem (rzadko w swych nowszych utworach), zbytnią wielomównością i subjektywizmem, w czem jest podobną do wielu autorów rosyjskich, najzapaleńszych zwolenników realizmu — w teoryi, ale zaciemniających go tak swoją tendencyjnością, iż baczne nawet oko nie może się go dopatrzeć w ich utworach. Ostatnie wszakże powieści p. Ch. (*Album*) a także „Spotkanie (*Swidanije*) i epizod z życia nauczycielki, nie grzeszą wcale zbytkiem żywiołu osobistego i retoryki; język jest zwięzły, obrazowy, pełen męskiej energii i siły; staranne a wcale niemanierowane wykończenie odbija szczególniej korzystnie przy utworach młodych pisarzy rosyjskich, i w ogóle „postępowych,“ zupełnie ignorujących piękno i formę wogóle, lub też niewolniczo wstępujących w ślady naturalistów francuskich, nietylko w kierunku ogólnym, ale w szczegółach najdrobniejszych, w porównaniach, opisach i t. d. Jako silna organizacya artystyczna p. Chw. potrafiła stworzyć styl oryginalny, nadto zachować wogóle swoją oryginalność; to też ostatnie utwory, chociaż drobne co do formy, postawiły ją obok największych romansopisarzy rosyjskich. Z dawniejszych jej prac zwracał większą uwagę *Baryton*, przed laty zaś 8—9 *Wielka Niedźwiedzica*, drukowana w *Wiestniku Jewropy*. Obecnie autorka pomieszcza swe obrazy wyłącznie w miesięczniku *Otieczestwiennyja Zapiski*.

R.

KILKA UWAG O SOMNAMBULIZMIE.

II.

Mniemanie dość powszechne u nas, a sądzę, i gdzieindziej nieobce, że samnambulizm jest objawem magnetyzmu zwierzęcego, wskrzesiły doświadczenia p. Ochorowicza. Nie umiejąc narazie zdać sobie sprawy z działania magnesu na osobę w stanie samnambulistycznym, chwycił się p. Ochorowicz zastarzałej hipotezy Mesmera, zmieniając ją może o tyle tylko, ile to potrzebnem było do pogodzenia jej z wymaganiami dzisiejszej nauki. Że nie jest to posądzenie bezpodstawowe, świadczy o tem korespondencya Juniusa, zamieszczona w nr. 31 *Prawdy*. Streszcza ona wiernie poglądy p. Ochrowicza, oraz fakty, na których je opierał. Zresztą dowodzi tego także nazwa, jaką nadaje on samnambulizmowi. Podczas bowiem, kiedy wszyscy badacze, zajmujący się samnambulizmem, dla uchylenia od siebie podejrzenia o hołdowanie teoryi Mesmera, przestali nazywać go snem magnetycznym, p. Ochorowicz, jak gdyby dla pokazania, że nie podziela powszechnego dziś zapatrywania na kwestyę magnetyzmu zwierzęcego, upiera się przy dawniejszej jego nazwie.

Od pewnego atoli czasu zaszła zmiana w poglądach p. Ochorowicza. Jakkolwiek dotąd nie przestaje on nazywać somnambulizmu snem magnetycznym, jednakże oświadcza się stanowczo przeciwko hipotezie magnetyzmu zwierzęcego. Co go skłoniło do odstąpienia od pierwotnego mniemania, badać nie będę. Zauważę tu tylko, że ponieważ zmiana ta dokonała się w cichości ducha i dotąd nie objawiła się głośno, więc też wpłynąć nie mogła na ustaloną już przez poprzednie jego wyjaśnienia opinię ogółu, który nie przestaje wierzyć w magnetyzm zwierzęcy. Sądzę więc, że nie będzie zbytecznem, gdy się zastanowię tu pokrótce nad dwoma następującemi pytaniami: czy przyjęcie magnetyzmu zwierzęcego, jako przyczyny somnambulizmu, da się logicznie usprawiedliwić faktami, których nam dostarcza doświadczenie p. Ochorowicza z magnesem? czy przypuszczenie magnetyzmu zwierzęcego, jako siły czynnej w organizmie, może mieć jakąś podstawę naukową?

Twierdzenie, że przyczyną somnambulizmu jest magnetyzm zwierzęcy, opiera się na doświadczeniu, które wykazuje, że zwykły magnes wywiera na osobę w stanie somnambulicznym te same skutki, co i ręka eksperymentatora. Z tożsamości skutku wnosząc o tożsamości przyczyny, zawyrokowano, że w obu razach czynna jest siła magnetyczna, która w pierwszym wypadku działa przez magnes, w drugim za pośrednictwem ręki magnetyzera, będącej przewodnikiem magnetyzmu zwierzęcego.

Nie trudno dostrzedz, że w całem tem rozumowaniu tkwi błąd podwójny — faktyczny i logiczny. Naprzód nieprawdą jest, ażeby magnes wywierał na pacyenta ten sam wpływ, co ręka eksperymentatora; albowiem zapomocą samego magnesu nie podobna, a przynajmniej nikomu dotąd nie udało się wprowadzić kogoś w stan samnambulistyczny; powtóre, gdyby nawet kto zdołał tego dokazać, nie możnaby jeszcze stąd wyprowadzać coś pewnego na korzyść magnetyzmu. Z tożsamości skutku nie należy wnosić o tożsamości przyczyny. Pewnem jest, że taż sama przyczyna pociąga za sobą zawsze ten sam skutek; ale również jest pewnem, że ten sam skutek może mieć różne przyczyny. Emetyk zawsze sprowadza wymioty, ale oprócz emetyku mogą je spowodować inne jeszcze lekarstwa, albo takie przypadłości, jak niestrawność żołądka, widok wstrętnych rzeczy, kołysanie się statku na morzu i td. Jakoż wiadomo już dziś powszechnie, że tesame zjawiska, jakie powstają w somnambulizmie, którego przyczyną jest działanie rąk eksperymentatora, powtarzają się także i w hypnotyzmie, do którego wywołania używa się błyszczących przedmiotów.

Zresztą, zanimbyśmy mogli utożsamić czynność ręki magnetyzera z działaniem magnesu, musielibyśmy wprzód dowieść, że magnetyzm rzeczywiście istnieje w organizmie zwierzęcym. Czy możemy tego dowieść? Jeżeli przez magnetyzm zwierzęcy będziemy rozumieli jakiś płyn, mający te same własności, co i zwykły megnetyzm, ale powstający w innych niż ten warunkach; natenczas musimy go całkiem odrzucić, jako fikcyę, pozbawioną rzeczywistego gruntu i wymykającą się doświadczalnemu stwierdzeniu. Jeżeli zaś będziemy go uważali za siłę magnetyczną, mającą te same własności i powstającą w tych samych warunkach, co zwykły magnetyzm, z jakim spotykamy się w świecie nieorganicznym; tedy pozostaje zbadać: czy są w organizmie zwierzęcym konieczne warunki, ażeby mogła w nim wytworzyć się siła magnetyczna?

Wiemy z fizyki, że dwa są rodzaje magnetyzmu: jeden, którego źródłem jest magnes, znajdujący się w przyrodzie w postaci minerału i będący pewnem połączeniem tlenu i żelaza, oraz drugi, który powstaje pod wpływem elektryczności i z tego powodu nazwany jest elektro-magnetyzmem. Dotąd nie wykryła nauka w organizmie zwierzęcym obecności magnetyzmu pierwszego rodzaju. Pozostaje więc tylko pytanie: czy w pewnych okolicznościach nie wytwarza się w nim elektro-magnetyzm? Fizyka nas uczy, że on powstaje wtedy, gdy prąd elektryczny przechodzi przez jakikolwiekbądź metal, albo nawet, jeżeli to będzie żelazo, obok niego w pewnej odległości. Otóż wiadomo już dziś powszechnie, że w organizmie zwierzęcym znajduje się elektryczność, która się objawia za każdym razem, gdy następuje ruch mięśni i układu nerwowego. Nie mniej wiadomo, że znajdują się w nim także pewne metale, jak żelazo w krwi, miedź i cynk w żółci i wątrobie. Nie jest więc rzeczą nieprawdopodobną, że podczas rozkładu elektryczności, gdy powstają jej prądy, powyższe metale nabierają pod ich wpływem własności magnetycznej. Czy rzeczywiście tak się dzieje? Nie umiem na to odpowiedzieć. W każdym razie, przypuszczając nawet, że siła magnetyczna wytwarza się w organizmie zwierzęcym, można jeszcze powątpiewać, czy ona zdolnaby była wywołać tak olbrzymie skutki, jakimi są zjawiska somnambulistyczne. Zważywszy bowiem, że znajdujących się w organizmie zwierzęcym metalów jest bardzo niewielki procent, musimy

przyjść do przekonania, że i wytwarzająca się za ich pomocą siła magnetyczna nie może być wielką. Zresztą, w niektórych objawach somnambulizmu wykryto słabe prądy elektryczne, ale jak dotąd nie wykryto, żeby kiedykolwiek podczas nich objawiała się także magnetyczność. A przecież nie brak nauce środków do jej wyśledzenia, a nawet wymierzenia. Działanie zaś magnesu na organizm żyjący niczego tym razem nie dowodzi. Przyczyny tego działania należy upatrywać najprzód w tem, że wszystkie składniki organiczne, z wyjątkiem żelaza, należą do ciał dyamagnetycznych, a następnie w tem, że stan somnambulistyczny, spowodowany działaniem ręki eksperymentatora, sprowadzając w organizmie pacyenta pewne zmiany fizyologiczne, wytwarza w nim nowe, nieznane jeszcze warunki życia, które do tego stopnia potęgują naturalną wrażliwość tkanki mięśniowej i nerwowej, oraz niektórych zmysłów, że stają się one czułem na najsłabsze nawet czynniki zewnętrzne. W końcu i o tem jeszcze trzeba pamiętać, że jednocześnie, kiedy działa magnes na osobę, zostającą w stanie somnambulistycznym, to działają na nią także i inne metale, jakkolwiek może w odmiennym kierunku i różnym stopniu.

Widzimy więc, że dane naukowe, na których można od biedy oprzeć hipotezę magnetyzmu zwierzęcego, są bardzo wątpliwej natury i budować na nich teoryę somnambulizmu jest to stawiać zamek na lodzie. Zresztą teorya ta, przypisująca działaniu magnetyzmu na organizm takie objawy, jak przeczulenie jednych, znieczulenie drugich części, tężec, katalepsya i td., nie wytrzymuje krytyki i z innych jeszcze względów. Mianowicie, zapoznaje ona naturę zjawisk życiowych, a oprócz tego zamiast rozumowego ich wyjaśnienia, daje tylko szerszy wyraz, który tyleż tłomaczy, co Molierowskie: „Opium usypia, ponieważ ma własność usypiającą.“ Niedość powiedzieć, że magnetyzm jest przyczyną somnambulizmu, potrzeba jeszcze wykazać, w jaki sposób on działa na organizm w pojedyńczych objawach, jakie spowodowuje w nim zmiany fizyologiczne. W każdym razie szukać przyczyny zjawisk życiowych w zewnętrznych czynnikach, jest to zbyt przeceniać ich znaczenie. Wprawiają one w ruch życiowy mechanizm, ale tego ruchu nie stwarzają, ani też stanowią o jego naturze. Działając na organizm, znajdują one w nim pewne warunki, które ich działanie znacznie modyfikują, napotykają w nim siły, które albo im przeciwdziałają albo się łączą z niemi. Są tylko bodźcami, wywołującymi ruch, którego źródłem jest mechanizm organiczny; są tylko środkami, wyzwalającymi siły żywotne, których przyczyna leży w warunkach organizmu stałych lub czasowych, prawidłowych lub chorobliwych. Pragnąc więc wytłomaczyć naturę zjawisk życiowych, wykryć ich przyczynę, musimy jej szukać nie zewnątrz organizmu, ale w nim, biorąc pod uwagę własności układów organicznego życia i wzajemny ich stosunek do siebie w danej chwili — a przedewszystkiem warunki układu nerwowego. Zjawiska życiowe tem się właśnie różnią od innych, że są nadzwyczaj złożone i zawiłe, że na ich wytworzenie składają się jeżeli nie wszystkie siły, czynne w organizmie, to w każdym razie większa ich część. Siły te, działając w organizmie w odmiennych warunkach, chociaż podług tych samych praw, co i w świecie nieorganicznym, ogromnie komplikują zadanie biologii i utrudniają wyjaśnienie zjawisk życiowych. Niepodobna tu ściśle oznaczyć, jaki w danem zjawisku udział bierze ta lub inna siła, a tem mniej wyprowadzać jakieś pod tym względem wnioski, opierając się wyłącznie na znanych nam skądinąd własnościach sił. Potrzebna tu jest przedewszystkiem dokładna znajomość warunków życia. (D. n.)

PLAN UPAŃSTWOWIENIA
dróg żelaznych w Niemczech.

II.

Uzasadnienie projektu do prawa... — Anglia i Ameryka wobec Niemiec. — Zjednoczenie i upaństwowienie. — Rozbiór zjednoczenia. — Rozbiór upaństwowienia. — Chwila obecna w Niemczech.

„Obecne położenie gospodarstwa kolejowego w państwie pruskiem wymaga upaństwowienia dróg żelaznych.“ Od tej stanowczej sankcyi zaczyna się *Begründung des Gesetzentwurfs*... uzasadnienie projektu do prawa, przedstawione Izbom. Następnie idą uwagi okolicznościowe i rozbiór wniosku ze stanowiska współzawodnictwa i względów politycznych. Niedogodności, jakie wywołała prywatna eksploatacya dróg żelaznych przez wielką liczbę różnych przedsiębiorstw wątpliwej trwałości i ograniczonej odpowiedzialności; wyzyskiwanie przez przedsiębiorców ich uprzywilejowanego położenia; nieraz doświadczony opór zbawiennym dla ogółu postanowieniom; powikłanie i dowolna różnorodność w zarządzie i eksploatacyi; plątanina w przedmiocie taryf; nieporozumienia i ogromne marnotrawstwo, które powoduje zacięty bój między licznemi towarzystwami—wszystko to dało uczuć w szerokich kołach szkodę, na jaką narażony jest interes publiczności, a która to szkoda połączona jest nierozdzielnie z rozszerzonem obecnie prywatnem gospodarstwem kolejowem. Z drugiej strony wielka już sieć dróg państwowych przygotowała inny, pomyślniejszy, sposób rozwiązania tej sprawy.

Anglia i Ameryka wskutek swojego położenia geograficznego mogą mało zważać na zadanie obrony krajowej i puścić wodze wymaganiom ruchu. Kupiecki i przemysłowy żywioł przeważa w tych krajach; „czuwanie nad osobistymi interesami powierzone jednostce, a nad wspólnymi — szczupłemu kołu uprzywilejowanych.“ Większa samodzielność i zdolność do czynu osobnika daje szerokie pole działalności prywatnej i czyni zbytecznem wdawanie się państwa. Inaczej się ma z Niemcami, gdzie odmienne drogi rozwoju odmienny sprowadziły rozwój. Względy na potrzeby obrony krajowej, które z powodu położenia geograficznego występują na plan pierwszy, to silnie współdziałający żywioł wojskowy i urzędniczy, opieka państwa nad każdą gałęzią dobrobytu publicznego, mniejsza wytwórczość jednostki—powołały w Niemczech państwo na nalepszego przedsiębiorcę kolejowego, tembardziej że polityczny ustrój tego narodu stawia przeszkody gospodarstwu prywatnemu.

Dążność do *koncentracyi* objawia się dziś we wszystkich krajach. Jednocześnie widzimy dążność do *upaństwowienia* dróg. Opieka państwa nad interesami publicznymi, mieszczącymi się w gospodarstwie kolejowem, jego dozór pośredni zapomocą koncesyi i szczegóły warunków mieszczących się w niej, a przedewszystkiem możność nabycia każdej kolei—ułatwiły państwom przystąpienie do bezpośredniego dozoru i eksploatacyi dróg żelaznych a następnie do nabycia ich na własność. W rozwoju dróg żelaznych występują dwie następujące myśli, które są ideą przewodnią zwolenników upaństwowienia:

1) Całkowite zjednoczenie zarządu i eksploatacyi wszystkich dróg żelaznych w granicach danej przestrzeni komunikacyjnej (*Verkehrs-gebietes*).

2) Bezpośredni dozór państwa nad interesami publicznymi, które w eksploatacyi dróg żel. przez żądne zysku prywatne przedsiębiorstwa nie znajdują dostatecznego zapewnienia i zadosyćuczynienia.

„Koleje powinny być w jednem ręku, najlepszą zaś być tu może ręka państwa.“

Korzyści zjednoczonego zarządu wszystkich krajowych dróg żelaznych są bardzo widoczne. Co do budowy: jeżeli można sieć kolei uważać za coś zamkniętego i ściśle złączonego z potrzebami kraju, to cóż za stratę ponosi kapitał narodowy, kiedy kraj wydaje ogromne sumy na niepotrzebne nasypy, rozkopy, mosty, dworce i t. d. Słusznie składają niektórzy winę obecnej klęski przemysłu niemieckiego na gospodarstwo kolejowe, które przy swobodnem współzawodnictwie w okresie zakładania przytłumiło na swoją korzyść rozwój innych gałęzi. Nie należy sądzić, że sieć jest zamknięta, ale pytanie, jak ją rozwijać? Tymczasem, żeby mieć pojęcie, w jakim stopniu możliwem było marnotrawienie kapitału narodowego przez konkurencyę w zakładaniu, dosyć jest przytoczyć, że w okolicach tak przemysłowych jak rewiry węglowe: górnoszląski i reńsko-westfalski — samo budowanie i płynący z niego zysk stanowił cel przedsiębiorstwa i powodował zakładanie. Dosyć spojrzeć na mapę rewiru reńsko-westfalskiego, żeby ocenić, ile tam zbytecznych linij. Co do zarządu, to straty z rozdrobnionego konkurencyjnego gospodarstwa są równie widoczne. W Prusach w 1877 r. było 50 samodzielnych zarządów, obok 45 rad nadzorczych. Miały one razem 17,948 kilometrów drogi, co stanowi 359 kilom. na jeden zarząd. Na same prywatne drogi przypada 39 zarządów i 9,648 km., co stanowi 247 km. na jeden zarząd. Liczba urzędników i robotników przy kolejach pruskich wynosiła w tymże roku 8,518 osób, z płacą 16,212,386 marek. Ileż oszczędności możnaby zrobić na samych zarządach, komisyach i t. d. Co do taryf, to są one przedmiotem nieustannych skarg publiczności. Narady odpowiednich komisyj, roboty nad wyliczaniem, ogłoszenia wymagają straty czasu i kosztów. Koleje niemieckie liczyły w 1877 r. 63 taryfy miejscowe sztucznie połączone, 184 taryfy połączone, 351 wyłącznie dla pewnych przedmiotów, 199 zagranicznych ogólnych i 314 specyalnych. Rozkład jazdy jest również utrudniony, a ułatwienie możliwe tylko przy zjednoczeniu; transport towarów musi być przeładowywanym, podróżni zaś muszą przesiadać się. Jedną z najszerszych sfer niedogodności są reklamacye, które polubownie a tem bardziej sądowo do niczego nie prowadzą, ponieważ nie wiadomo, na którym zarządzie strat poszukiwać. Użytkowanie wagonów prowadzi do strat bezcelowych. Wymownym jest fakt, że w r. 1877 na pruskich kolejach liczono przebieżonych 3,681 milionów wagono-kilometrów, z których 2,338 przypada na wagony naładowane, a całe 1,343 mil. na próżne. Wagony poruszają się w dwu kierunkach, tymczasem przy istnieniu licznych zarządów prywatnych często w jednym tylko idą naładowane. Przy zjednoczonym zarządzie możnaby osiągnąć znaczną oszczędność w materyale eksploatacyi i w kosztach. Tak np. koszta utrzymania 6,818 lokomotyw i 143,060 wagonów towarowych na kolejach pruskich wynosiły w 1878 r. 788,794,873 marek. Dodajmy, że niektóre koleje równoległe zawierają między sobą umowę, iż przewóz towarów prowadzony będzie miesiąc po jednej, miesiąc, po drugiej! Często też nakłada on 100% najkrótszej drogi. Oto, do czego prowadzi swobodne współzawodnictwo w kolejowem gospodarstwie prywatnem.

Opieka państwa nad interesami publicznymi, objętymi przez koleje, znajduje w *Uzasadnieniu projektu* następującą obronę. Koleje wogóle są to drogi otwarte, na których przewóz towarów i podróżnych należy do przedsiębiorcy. Przedsiębiorstwa prywatne korzystają z monopolu, a starania, ażeby mu zapobiedz, przez dopuszczanie do nich każdego, zawarte w prawie 3 listopada 1838 roku nie doprowadziły do

niczego. „Idea, że każda kolej, chociaż nie odpowiada potrzebom gospodarstwa, staje się użyteczną dla dobra ogółu, jest ciężkiem i w nauce pogrzebanem głupstwem: zaniosła ona nędzę do szerokich kół ludności, tysiące milionów ciężko zapracowanego kapitału skazała na bezpłodność, a odebrała środki rozwoju od istotnie potrzebnych przedsiębiorstw.“ Zadaniem państwa jest zapobiedz rozwijaniu się tego stanu. Zadanie to spełnia ono częściowo już dzisiaj, kiedy ogranicza czas budowy, kontroluje taryfy i przenosi koleje do swoich rąk. Gospodarstwo kolejowe wymaga opieki państwa, nie tylko w planie sieci i w środkach budowania, lecz wymaga jej też ze strony technicznej. Następnie jednem z najważniejszych jego zadań jest objąć zarząd dróg żelaznych w interesie obrony (przerzucać armie, dowozić żywność i amunicyę, zamykać komunikacyę). Wreszcie opieka nad potrzebami ruchu. Liczne gałęzie przemysłu upadają, a inne się wznoszą, kierunki najbardziej ożywionej komunikacyi zmieniają się, kraj jest wystawiony na wpływ przemysłu i handlu zewnętrznego: otóż zadaniem dobrze pojętego egoizmu jest za pośrednictwem dróg żelaznych bronić gospodarstwo krajowe i pomagać mu. W tym celu zwierzchni kierunek państwa równie jest koniecznym, jak przy usuwaniu nadużyć konkurencyi, przy wymaganiach techniki i przy obronie kraju. Przechodząc do operacyj finansowych państwa, należy uwzględnić, że cena przewozu stanowi ważną część ceny towaru. Rząd też ma obowiązek w interesie społeczeństwa obniżać, o ile możności, cenę transportu; on może to zrobić, bo nie jest tak chciwym w zyskach egoistycznych jak osoba prywatna a jego interesy nie sprzeciwiają się interesom ogółu. Państwo może wprowadzić trwałość i jednostajność taryf. Wreszcie względy na cło wskazują, w jakiej sprzeczności pozostaje gospodarstwo prywatne z zadaniem państwa. „Jeżeli opieka jego przez bezpośrednie obarczenie konkurencyi cudzoziemskiej za pomocą ceł ochronnych jest *prawie* usprawiedliwioną, to jakże wątpliwą staje się ta opieka wobec ułatwień czynionych tejże konkurencyi przez obniżanie taryfy dla zagranicy.“ Na państwie więc leży obowiązek zabezpieczyć taryfę celną od szkodliwego wpływu przewozowej. Państwo ma możność zapobiedz niesprawiedliwemu postępowaniu przedsiębiorców prywatnych. Obecnie interesanci wcale nie jednostajnie są traktowani przez koleje. Bogatsi, na których kolej może liczyć, że jej dadzą dobry zysk, korzystają z wszelkich ułatwień, z rabatu, z bezpłatnego biletu jazdy w pierwszej klasie, podczas kiedy biedni narażeni są na zwłokę, wygórowane ceny i często — odmowę.

W uzasadnieniu znajdujemy rozbiór krytyczny czterech, praktykowanych powszechnie sposobów eksploatacyi. Wszystkie koleje na świecie odpowiadają czterem następującym grupom. Koleje państwowe pod zarządem państwa, prywatne pod zarządem prywatnym, prywatne pod zarządem państwa i państwowe pod zarządem prywatnym. W różnych krajach spotykamy różne postacie. Rozbiór dokonany ze stanowiska koncentracyi i upaństwowienia przemawia jedynie za kolejami państwowemi pod zarządem państwa.

Rząd, przedstawiając parlamentowi powyższe uzasadnienie, miał na celu projekt ściśle sformułowany i starannie przygotowany — projekt nawet nie zbyt wielki: szło mu o kupno wspomnianych wyżej czterech dróg żelaznych. Przy tej okoliczności rozwinął on teoryę ekonomiczną gospodarstwa kolejowego i zakreślił program wielkiej reformy politycznej. Rząd rozumie, że reformy tej przeprowadzać nagle nie można i postanawia iść krok za krokiem, ale dodaje: dla przeprowadzenia upaństwowienia dróg żelaznych w Niemczech obecna chwila nastręcza najwięcej dogodności, ponieważ położenie wielu z nich jest takie, iż same pragną tej reformy, a kredyt sprzyjający dziś państwu (1879 r.) ułatwia mu środki przeprowadzenia tranzakcyi dla obu stron dogodnej.

A. Pawłowski.

PSYCHOLOGIA

w ekonomii politycznej.

III.

(Wynalazczość i naśladownictwo).

Do zwykłych zagadnień ekonomii politycznej — powiada Tarde — badającej: w jaki sposób powstaje, rozdziela się i spożywa bogactwo lub wartość, należy dodać pytania: jak powstają i powiększają się żądze wytwarzania i posiadania rzeczy lub usługi cudzej, oraz przekonanie o ich użyteczności; jak odpowiadają sobie i jak się rozdzielają te pragnienia i ta ufność; jaki jest ostateczny stan duszy, do którego one prowadzą? Co do pierwszych dwu kwestyj jasnem jest, że ilość naszego pragnienia wogólności wynika z tysiąca przyczyn organicznych albo fizycznych, z pomiędzy których na główną uwagę zasługują przyczyny społeczne. Źródłem naszej wiary i żądzy są wrażenia, będące szeregiem bezpośrednich i ciągłych pewności, to, co widzimy, co czujemy, co w nas obudza chęć podróży, nauki, przedsiębiorczości.

Wiarę tę i pragnienie możemy zmienić na siłę logiczną albo ekonomiczną. Ta ostatnia, chociaż płynie ze wspólnego źródła, warunkuje się stopniem działania przyczyn odrębnych. Podług autora, przyczyny te sprowadzają się do stopniowo wzrastającej *wynalazczości*, będącej podstawą nowych żądań i nowych pewności, które się rozpowszechniają i rozdzielają przez *naśladownictwo*. Wynalazczość i naśladownictwo — oto są dwie potężne przyczyny, które zbadać należy.

Byt społeczny jest z gruntu naśladowczy; wszystkie społeczne stosunki są grupami naśladowań świadomych i bezwiednych; wszystkie zwierzęta towarzyskie naśladują się wzajemnie i wszystkie zwierzęta, które się naśladują, są towarzyskie. Przeciwnie, jest zawsze coś po za społecznego w pracach badacza, zwróconych ku naturze zewnętrznej; w żądzy podróżowania, która popycha ludzi w dalekie kraje tkwi czynnik, wywołujący w umyśle jednego z członków społeczeństwa przyrost idei niezwykłych, odkrycie mniej lub więcej ważne.

Wszystkie ludzkie odkrycia, wszystkie świetne ogniska naśladownictwa mają to wspólnego, że budzą nowe gusta i nowe pojęcia, które wpływają na wzrost albo sumy naszych pragnień, albo sumy naszych wiar. Na wzrost pragnień oddziaływają jedne wynalazki przez to, że wprowadzają w umysł ludzki nowe skojarzenia obrazów; drugie zaś przez to, że zniżają cenę przedmiotów znanych, zaspokajających dawne pragnienia, i czynią te przedmioty przystępnymi dla wszystkich, którzy nie mogli dawniej nawet marzyć o ich nabyciu.

Co do wynalazków, które powiększają głównie sumę naszych wiar, przekonań, są one albo naukowe albo polityczne, sądowe, administracyjne lub wojskowe. Naprzykład konduktory wytwarzają bezpieczeństwo wobec piorunów, o którem nie myślano przed Franklinem. Stopniowy postęp prawodawstwa, administracyi, uzbrojeń, może być uważany za szereg prawdziwych wynalazków, przez które państwo, jako wielkie stowarzyszenie bezpieczeństwa powszechnego, albo wytwarza nowe gatunki pewności i rękojmi dawniej nieznane (jak np. przywileje, udzielane miastom w średnich wiekach, gwarancye osobiste, wytwarzane przez nowożytne konstytuanty), albo też rozpowszechnia i rozciąga na większą ilość obywateli prawa, przysługujące dawniej częściom ludności (np. głosowanie powszechne, zniesienie niewolnictwa w Ameryce itd.)

Te wynalazki są *prawdziwym kapitałem*, którego określenia szuka ekonomia polityczna. Z małym wyjątkiem prawie wszystkie wynalazki, wszystkie talenta, zdobyte w biegu wieków, są dziedziczne i przechodzą na potomność. Przypuśćmy teraz, że cały kapitał materyalny: domy, pomniki, materye pierwotne, wyjąwszy tylko niewielką ilość koniecznego pożywienia, że wszystko to uległo zniszczeniu, ale zostało *wspomnienie* sposobów wytwarzania, które nam pozwala to wszystko odbudować; w takim razie rzecz jasna, że nasza strata będzie tylko stratą czasu.

Gdyby jednak naodwrót: cały materyalny kapitał, przekazany przez przeszłość, wszystko to, co się nazywa właściwie i wyłącznie kapitałem, zostało nienaruszone, ale gdybyśmy przytem stracili nagle pamięć wszystkich wynalazków, stopniowo dokonanych, które wytworzyły te bogactwa, to po wielu latach ludzkość wróciłaby do dzikiego stanu. A zatem, podług Tarde'a, należy uważać za prawdziwy, istotny kapitał sumę wynalazków, wobec której kapitał materyalny jest tylko pomocniczym zapasem, przeznaczonym dla ułatwienia użycia tych odkryć.

Każdy kapitał nowy jest darem, ofiarowanym przez teraźniejszość przyszłości; tylko że kapitał duchowy, prawdziwy, jest pracą *wewnętrznie* oszczędzoną lub użyciem wewnętrznie nadanem *na zawsze* całej ludzkości przyszłej, a kapitał materyalny jest pracą *realnie* oszczędzoną lub użyciem realnie nadanem na *czas ograniczony*. Wskutek tego jednak przyszła ludzkość będzie miała do pewnego stopnia te same gusty, co i my, będzie nas naśladowała w pewnej mierze. Do tego właśnie służy wychowanie, które upodabnia zawsze potomstwo do przodków. Przy wielkich zaś zmianach i przewrotach dziejowych, gdy jedne narody zajmują miejsca drugich (np. w czasie najazdu barbarzyńców na państwo rzymskie) oraz ciągłość rozwoju pokoleń się przerywa, kapitał duchowy traci chwilowo swą wartość, aby ją potem znowu w biegu cywilizacyi odzyskać, chociaż w pewnych razach, jak np. w rewolucyach literackich, zmiany i straty takiego kapitału są nieuchronne, gdyż skarb umysłowy lat poprzednich przestaje być uważany jako źródło, z którego czerpać można.

Typowem naśladownictwem w społeczeństwach nowożytnych jest obecnie *moda*, to jest czynność społeczna, naśladownicza, powszechna, która zastępuje dawny panujący *zwyczaj*, czyli naśladownictwo przodków. Widoczny, wskutek panowania mody, wzrost podobieństwa między ludźmi, pod względem płodnego użytkowania prawdziwego kapitału, ma taką wartość, jak trwałe podobieństwo pokoleń następujących po sobie, ponieważ powiększa sferę, w której wynalazczość może być użyteczną.

Gdyby sama moda panowała, gdyby pewna czynność przyjęta za przykładem innych, (np. użycie tytoniu i kawy) nie stawała się zwyczajową, tradycyjną, sfera promieniowania danego odkrycia mogłaby być szeroką, ale krótką. Gdyby sam zwyczaj panował, każdy ród miałby sekrety długotrwałe, ale ograniczone do szczupłej sfery działania. W społeczeństwach pierwotnych, gdzie moda nie ma żadnego znaczenia, a zwyczaj jest wszystkiem; gdzie ubrania, sprzęty i pożywienia są zdawien dawna inne w różnych miejscach, nie może być mowy o fabrykacyi na wielką skalę. Tak było w Szkocyi, gdy panowały stare kostyumy, dla których materyały tkano

tylko po wsiach. Wszędzie, gdzie istnieje odgraniczenie klas, gdzie niema stanu trzeciego (jak w Japonii, Indyach, w dawnej Francyi Sullego i Colberta), przemysł ogranicza się do nielicznych fabryk, wyrabiających przedmioty zbytku, gdy tymczasem przedmioty pierwszej lub drugiej potrzeby wyrabiają się w gospodarstwach domowych. Dopiero potem pojawia się przemysł na wielką skalę, zastosowany do potrzeb ogólnych, ponieważ jest on wynikiem zastąpienia przez modę. Z innego powodu jest to użytecznem dla szerokiej fabrykacyi, gdy naśladownictwo rozległe a przelotne zastępuje w pewnych rozmiarach długotrwałe, ale zawarte w ograniczonym zakresie, gdyż produkty zwykle są przeznaczone dla natychmiastowej konsumcyi. Inna rzecz, gdy idzie o budowle lub sprzęty domowe; w tych bowiem gałęziach produkcyi lepiej liczyć na długotrwałą stałość gustów. Tak w wiekach średnich, gdy przedmioty bieżącej konsumcyi nie wyrabiały się w wielkiej ilości, kwitły korporacye, wyrabiające przedmioty trwałe (kościoły katedralne, zamki, meble rzeźbione itd.) Pokolenia przyszłe, dla których pracowano, zastępowały miejsce zbytu zewnętrznego i były rodzajem zbytu następnego.

Słowem, gusty jednorodne, jeżeli rzec można, stałe, dodane do siebie bez odejmowania, byłyby jedynym źródłem możliwem kapitalizacyi i zbogacenia nieskończonego. Nic niema bardziej zajmującego nad oryginalności prowincyonalne lub kantonalne, chyba tylko gwałtowne przewroty społeczne i wybryki pokoleń niszczących lekkomyślnie to, co ich ojcowie czcili.

Moda i zwyczaj w swych skrajnościach są nieraz bardzo śmieszne, jednakże, podług Tarde'a, dotykając tych dwóch form siły społecznej, lepiej odnieść ich zboczenia do naśladownictwa, które w społeczeństwie jest tem, czem w fizyce falowanie, czem dziedziczność organiczna w życiu.

Wracając teraz do pierwszego przedmiotu, to jest do teoryi wartości, Tarde zastanawia się nad zdaniem J. St. Milla, który pierwszy zaznaczył wpływ zwyczaju na cenę, twierdząc, że jest on *niepokojącym* i *malejącym*. Maleje on instotnie z tem zastrzeżeniem, że dziś zwyczaj zastąpiony jest przez modę. Co do kwestyi: czy jest niepokojącym, Tarde zwraca uwagę, że działalność społeczna zwyczaju i mody taki wpływ wywiera, iż utrzymuje albo ustala despotycznie jednorodność ceny albo *w danem miejscu* przez pewien nieograniczony przeciąg czasu, nawet potem gdy cena przestała być racyonalną, albo też *w danej chwili* na szerokiej przestrzeni po za granicami naturalnemi handlu, w którym cena jest racyonalnie oznaczoną. Dawniej za panowania zwyczaju, każde podniesienie ceny pracy wywoływało wielkie krzyki; dziś za panowania mody rzeźnicy i piekarze mogą bezkarnie podnosić taryfę i utrzymywać ją na tej stopie, pomimo to, że ceny bydła lub mąki są niższe, byle tylko ich taryfa była równą dla wszystkich.

To wszystko sprzeciwia się mniemanym prawom zaofiarowania i popytu. Czyż więc moda lub zwyczaj działają zmiennie i niepokojąco na cenę? Trudno tak twierdzić, skoro wiadomo, że pośrednio innym sposobem wpływy te działają na ustanowienie ceny sprawiedliwej, racyonalnej, normalnej. Czyż zaraza przykładu nie wywołuje rozpowszechnienie żądań specyalnych i wiar specyalnych; czyż ona podnosi lub obniża ich natężenia? Nasze potrzeby prawdziwie naturalne tkwią w całej masie potrzeb sztucznych. Zapewne, naśladownictwo nie wytwarza w nas sztucznej siły wewnętrznej wierzenia lub pragnienia, ale ją obudza i kieruje ku pewnym przedmiotom i przez to stwarza ich wartość. Gdy np. wiosna nadejdzie, zwykle kobiety się stroją, a w czasie upału ludzie czują pragnienie, stąd bezwątpienia wynika pokup na stroje wiosenne, lub napoje ochładzające. Ale instynkt naśladowniczy sprawia, że te zapotrzebowania stroju lub napojów zwracają się według mody lub zwyczaju do takiego lub innego gatunku materyi, do wina lub piwa. Są rasy z natury łatwowierne lub podejrzliwe; ten sam lud stosownie do tego, czy jest źle lub dobrze karmiony, czy jest zdrowy lub chory, przechodzi od łatwowierności do nieufności, albo od nieufności do łatwowierności. Ale czy to nie jest wynikiem ogólnego ciążenia, że jego ufność przywiązuje się tutaj do dogmatów katolickich, gdzieindziej do dogmatów muzułmańskich, obecnie do prawd pozytywnych, że jego nieufność skierowaną jest już to do polityków lub wojowników, jużto do księży. Jakiekolwiek jest w tem źródło naszej siły żądania lub wiary, to pewna, że wszelka wartość rzeczy pochodzi z naśladownictwa, w ten sam sposób, jak jasność przedmiotu oświeconego przez tajną latarnię pochodzi od ręki, która kieruje latarnią. Zresztą naśladownictwo działa zawsze na podstawie wynalazku, który znowu stwarza żądanie, jakie ma zaspokajać. Wynalazek rozpowszechnia się bezwątpienia z powodu użyteczności, ale zadawalnia potrzebę, któraby nie istniała bez niego, albo bez poprzedniego wynalazku. Druk np. zyskał rozpowszechnienie, bo odpowiedział potrzebie czytania lepiej, aniżeli praca kopistów; ale potrzebę zrodził wynalazek pisma. To samo można powiedzieć o telefonach, fonografach. Odkrycie kakao posłużyło do zaspokojenia chęci jedzenia czekolady. Czyż więc można nazywać niepokojącemi stopę wartości przyczyny samejże wartości?

Streszczając te poglądy, Tarde twierdzi, że: 1) wszelka wartość polega na pragnieniu i na wierze, na możliwości większej lub mniejszej zadowoleń późniejszych mniej lub więcej pożądanych; wartość zamienna jest tylko wewnętrznem zrównaniem wiar i pragnień, z których jedne powinny być poświęcone dla drugich; 2) wzrost zarówno liczby naszych wiar specyalnych i żądań specyalnych, pod względem społecznym, wynika z jednego źródła, t. j. z wynalazku nowego lub rozpowszechnionego przez naśladownictwo. Wynalazczość i naśladownictwo są jedynemi społecznemi przyczynami bogactwa i wartości. Wskutek tego, co sprzedajemy, co kupujemy, nie są to ani grunta, ani kamienie, ani spadki wody, ale niezliczone odkrycia rolnicze, budownicze, przemysłowe, geometryczne, fizyczne itd., to jest, użytek, który już osiągnięto, lub który można osiągnąć z tych kamieni, gruntów i spadków wody. Przed kupnem, nabywca mógł znać te odkrycia, ale je nabył dopiero w dniu, w którym może się niemi posługiwać, albowiem ich treścią jest użyteczność.

LIBERUM VETO.

Poufne zwierzenia Towarzystwa Kred, Ziem. w *Gazecie Polskiej*. — Prawdopodobieństwo związku tych ciał.— Niespodzianka po tygodniu w duchu „pohopności“ i „lekkomyślności.“ — Wnioski. — Słówko o propinacyi. — Ostrożność z zasadą „praw wyjątkowych.“ — List otwarty p. J. Jeleńskiego i jego dymisya. — Słaby punkt w zestawieniu dat. —Kurant dziennikarski i potrzeba przerywania go.— Oszczędzani autorowie listów otwartych. — List p. St. M. Rzętkowskiego. — Paskudny obrót walki. — Śmierć spółki połączonej pracy kobiet. — Zdrowie Stowarzyszenia subjektów handlowych i rocznica jego chęci.

Pewnego listopadowego popołudnia, w pamiętnym dniu, w którym 254 nr. *Gazety Polskiej* ujrzał światło dzienne, zdało mi się, że ziemia zaczęła nagle się kręcić w przeciwną stronę. Zajrzawszy bowiem do tego pisma bez żadnych złych przeczuć, spostrzegam artykulik, zatytułowany: „Obrady ogólnego zebrania połączonych władz Tow. Kred. Ziemskiego w Król. Polskiem.“ A—myślę sobie—do głosu *Tygodnika Rolniczego*, *Kuryera Codziennego*, *Prawdy*, *Nowin* — *Gazeta Polska* dołącza swoje uwagi o ostatnim akcie możnowładczej komedyi. Więc czytam, czytam historyę skodyfikowania przepisów od 1825 roku wydanych, wiadomość o sześciomiesięcznej pracy nad przygotowaniem projektu i o miesięcznym rozbiorze jego paragrafów, doniesienie o ponownej próbie płodu delegacyi, wreszcie taki wniosek: „Z powyższej objektywnej relacyi o stanie sprawy udzielania przez Tow. Kred. Ziemskie pożyczek z taksy, wedle rozszerzonej (czyt. zwężonej) skali, relacyi, z *kompetentnego* zaczerpniętej *źródła*, przekonają się czytelnicy *naszego pisma*, że bez dokładnego poinformowania się — co jest warunkiem sumiennej prasy—odzywały się te głosy, które poważnej i *bezinteresownej* pracy członków instytucyi, żadnych zysków na celu niemającej, zbyt pohopnie, jeśli nie powiemy, zbyt lekkomyślnie przed swój trybunał ciągnąć się nie wahały.“ Nie ufając pierwszemu rzutowi oka, odwróciłem kartę, ażeby się przekonać, czy to istotnie „z kompetentnego źródła“ czerpie *Gaz. Polska?* Ona. Żal mi cię—rzekłem sobie w duchu — *Gazeto Warszawska*; ty dotąd sama czerpałaś z tego „źródła,“ trzymając w wyłącznej dzierżawie złotodajne inseraty Towarzystwa Kred., które ono swą pohopnością w ogłoszeniu majątków wystawionych na licytacye tak szczodrze ci napędzało! Widocznie *Gaz. Polska*, która przez lat parę mieściła się naprzeciwko Towarzystwa, dopóty na nie mrugała, aż jej przyrzekło swą miłość. Na drugi dzień byłem pewien, że ujrzę na jej ostatniej stronicy długie dowody tego związku, na które Grecya szlachecka, obowiązana za nie płacić, żałośnie spoglądać będzie. Tymczasem wbrew tej nadziei *Gaz. Warszawska* nazajutrz ze stuletnim uśmiechem przybiła, jak zwykle, na swym słupie inseraty o wystawionych na sprzedaż dobrach. A więc —pomyślałem — stare małżeństwo nie rozwiodło się, lecz w osobie *Gaz. Polskiej* zyskało bezinteresowną przyjaciółkę domu. Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy odebrawszy nr. 261 tego pisma, czytam: „*Gazeta Warszawska* obwieściła nam, że obrady ogólnego zebrania władz Tow. Kred. Ziem. na dłuższy czas znowu przerwane zostały.“ Po tem doniesieniu, naprzód obwieszczonem przez *Gaz. Polską*, następuje szereg zarzutów, pomieszczonych przedtem w tychże samych pismach, które—według niej—„zbyt pohopnie, jeśli nie zbyt lekkomyślnie“ pociągnęły przed swój trybunał działalność instytucyi ziemskiej. Nader wymownie gani *Gazeta* „nieznany dotąd census wyborczy“ oraz census dla przystępujących do Towarzystwa, zamykający usta głosowi „może najpożyteczniejszemu,“ upomina się nawet o krzywdę pozbawionych tego prawa kobiet i t. d. W czemże tkwiła „pohopność“ i „lekkomyślność“ pism, nieczerpiących z „kompetentnego źródła?“ W tem chyba, że nie odbierając „udzielanych *poufnie* wiadomości,“ wykryły daleko mniej słabizn w projekcie Towarzystwa, niż *Gazeta Polska*, która w tych „poufnych“ stosunkach z niem pozostaje. I dla tego nie odmówi ona chyba nam prawa do dwu w tej sprawie wniosków: 1) nie należy „zbyt pohopnie, jeśli nie zbyt lekkomyślnie“ stawać się telefonem Towarzystwa, a później zajmować względem niego stanowisko samodzielne; 2) nie należy za jego podszeptem karcić pism, które żadną „pohopnością“ i „lekkomyślnością“ nie zgrzeszyły, a gdyby nawet popełniły w swych sądach jakąś nieścisłość, to i wtedy powinny być usprawiedliwione wobec instytucyi *publicznej*, która wiado-

mości o swych działaniach udziela tylko wybranym pismom i tylko *poufnie*.

Gdyby nie obawa ściągnięcia na siebie zarzutu „pohopności“ i „lekkomyślności“ a nadewszystko wzbudzenia domysłu w p. Agricoli, że słowa moje piszę „na kolanie“—nie odgaduję na jakiej części ciała ten szan. mąż pisuje swoje artykuły w *Koresp. Płockim*—zrzekłbym się pretensyi do pp. Samarina, Chwastowa, Markowa i Gałagana, którzy w zgromadzeniu biegłych oświadczyli się przeciw propinacyi w t. z. Kraju Zachodnim. Niewiadomo mi, czy w sprawie tej hr. Zamoyski założył *liberum veto* co do Król. Polskiego, i dla tego dziś tylko zamawiam sobie głos o tym przedmiocie, gdy zostanie rozstrzygnięte pytanie: czy propinacya będzie dalej nas uszczęśliwiała, czy też nie. Tymczasem zaś, skutkiem częstych odwoływań się naszych przedstawicieli w Petersburgu do potrzeby stosowania u nas „praw wyjątkowych,“ pozwolę sobie prosić ich, ażeby tego obosiecznego miecza używali bardzo oględnie. Niewątpliwie pewne „prawa wyjątkowe“ mogły by nam przynieść istotną korzyść, ale, przerażony innemi, tak boję się tej zasady, że gdybym był suflerem hr. Zamoyskiego lub mógł do niego pisywać „listy otwarte,“ podpowiadałbym mu ciągle: ostrożnie, panie hrabio, z tą wyjątkowością ostrożnie.

Spodziewam się, że myśl moją, daleko lepiej, niż ja bym to zdołał uczynić, wyłoży hr. Zamoyskiemu p. J. Jeleński, który już zawiązał z nim korespondencyę „otwartą.“ Ponieważ na trzeci dzień po rozpoczęciu tej, jak wiadomo lub niewiadomo — miażdżącej żydów filipiki, szan. autor został uwolniony od służby na kolei Terespolskiej, w tem więc swojem wystąpieniu wskazał publicznie przyczynę otrzymanej dymisyi. Skutkiem tego naród ma do wyboru oświadczyć się: albo za p. Jeleńskim, skrzywdzonym za swe przekonania przez kolej Terespolską, albo za jej prezesem, który jednocześnie z tą karą ofiarował 5,000 rs. na kasy rzemieślnicze. Co kto woli: stratę jednej strony, czy wspaniałomyślność drugiej. Możnaby uszanować obie, ale na nieszczęście, p. Jeleński zbrojny zestawionemi datami, wykazującemi niegodziwość jego byłej zwierzchności, nie dopatrzył w nich jednego słabego punktu. Bo nuż kolej Terespolska powie: prawda, uwolniliśmy naszego urzędnika na trzeci dzień po jego artykule przeciw żydom; ale ponieważ p. J. Jeleński rzuca przecięciowo jeden piorun dziennie na żydów, więc gdybyśmy chcieli krępować się tym względem, musielibyśmy go trzymać do śmierci a wnosząc z dotychczasowej wytrwałości, nie doczekalibyśmy się nigdy takiego szczęśliwego dnia, w którym by jego dymisya nie nastąpiła zaraz po jakimś żydożerczym artykule. Byłoby to, powtarzam, dla p. Jeleńskiego odparcie bardzo niebezpieczne. Jeżeli więc sz. Herod chce dalej rżnąć izraelskie niewiniątka, nie powinien tego robić tak często. Na ograniczeniu płodności zyskałoby również jego literackie potomstwo. P. Jeleński bowiem za dużo rodzi a za mało się odżywia. Od dziesięciu lat, jak kos dziennikarski, wyśpiewuje ciągle w klatkach kuryerów jeden i tenże sam kurant na nutę *Żydzi, niemcy i my*. Nie należę do tych, którzy mu odmawiają przekonań lub dobrych chęci; sądzę wszakże, że, jeśli chce istotnie służyć ludowi, któremu ciągle swe pióro poświęca, powinienby czas, oszczędzony w częstszych przerwach wygwizdywanej dotąd melodyi, rozdrażniającej nerwy żydowskie i szkodliwie pobudzającej chrześcijańskie, zużyć na bardziej naukowe badanie położenia klas pracujących i środków poprawy ich doli. Wyzyskujący żyd, około którego p. Jeleński tak długo się kręci, że aż w tem wirowaniu dostał ekonomicznego zawrotu głowy, nie jest jedyną plagą naszego ludu.

P. J. Jeleńskim prasa niejednokrotnie się zabawiała; dla czego wszakże jej śmiech nie dosięga nigdy innych, daleko humorystyczniejszych zwolenników „otwartego“ korespondowania — nie pojmuję. Po pismach warszawskich uwija się pewien zabawny mąż, który uważa sobie za święty obowiązek rzucić w „liście otwartym do redakcyi“ swój głos na szalę wszystkich ważniejszych wypadków. Mąż ten jest przekonany, że gdyby on nie przemówił publicznie, ani Kopernik nie miałby albumu, ani Mickiewicz pomnika, ani łużyczanie towarzystwa pomocy naukowej. Niedość tego; dba on tak dalece o pełność swych odezw, że ogłasza nawet do nich suplementa w formie osobnych „listów.“ To też ile razy zabieramy się do jakiejś składki lub fundacyi, dreszcz mnie ogarnia na myśl, że będę musiał wyczytywać sakramentalne: „Szanowny Redaktorze. Podniesiono myśl szlachetną. Otóż uważam za stosowne...“ Jednego tylko niecierpliwy ten wykrzyknik naszej prasy nie uważa „za stosowne“—ażeby się nie odzywać.

Tydzień ubiegły obdarzył nas jeszcze jednym listem w sprawie... Mój czytelniku, czy byś mi nie pozwolił wprowadzić, dla krótkości w porozumiewaniu się, pewnego skrócenia. Mianowicie, ponieważ u nas nie może upłynąć kilka dni, ażeby dzienniki nie wietrzyły i nie trzepały kwestyi teatralnej, więc radbym ją wyrażać jakimś umówionym znakiem zodyakalnym np. koziorożca. Ułatwiłoby mi to bardzo obowiązek sprawozdawczy. Trzymając się jeszcze dawnego zwyczaju, winienem zawiadomić, że p. St. Rzętkowski napisał list, że list ten został przez kogoś z przeciwległego stanowiska wykradziony i w kołach literackich ciekawym pokazywany, że jego autor napiętnował ową kradzież w pismach i ostrzegł publiczność przed kretami, podkopującymi świątynię Melpomeny. Nie wiedziałem, że tak paskudnie, ale wiedziałem, że paskudnie się ta sprawa skończy. Radzę też powaśnionym obozom, ażeby, zapomniawszy o tem, że jeden należał do podkomitetu teatralnego, a drugi nie należał, przerwały walkę, która zaczyna być szpetną i w której ani zwycięzców nie możemy uwieńczyć wawrzynem, ani poległych uczcić łzami.

Zresztą mamy inny pogrzeb—Spółki połączonej pracy kobiet, umierającej na suchoty. Dzienniki nasze, będące, jak wiadomo, zapalonymi przyjaciółmi nieżywych, odmawiają nad konającą takie akty strzeliste, jak gdyby to była ich najulubieńsza pieszczocha. A jednak wiadomo, że przed biedną suchotnicą za życia nawet najtroskliwszy reporter nigdy się nie zatrzymał i nie spytał jej o zdrowie.

Daleko lepiej wiedzie się Stowarzyszeniu subjektów handlowych, które nawet wyprawia sobie baliki, zapewniwszy naturalnie dorocznym zwyczajem, że stara się o zrzucenie z siebie więzów wyznaniowych, ale na podanie w tym względzie nie otrzymało jeszcze odpowiedzi. Jestto—jeśli się nie mylę — dziesiąta rocznica tego zapewnienia i tych starań. Niedługo więc będziemy mieli ich jubileusz.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Jak uczył Chrystus, św. Paweł, a jak uczy ks. R. J. w *Echu*.— Wygodna plebania jako warunek chrześciańskiego apostolstwa i przypowieść o widowiskach. — Czem Włocławek się wzruszył. — Surowy wyrok. — Obrona pisarzów gminnych.

Chrystus tak uczył:

„Jeśli kto chce być pierwszym, niech będzie ze wszystkich ostatnim i sługą wszystkich.“

„Jednegoć młodzieńcze nie dostawa: idź, sprzedaj co masz, a rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie.“

Paweł apostoł tak uczył:

„Takeście głupi? począwszy duchem, teraz ciałem dokonywacie?“

„O tem, co jest w górze, myślcie, nie o tem, co jest na ziemi.“

„Umartwiajcież tedy członki wasze, które są na ziemi.“

Ksiądz zaś R. J. w *Echu*, snując dalej tę nić, tak uczy:

„Wyobrażam sobie przyjemność i dogodność mieszkania w czworaczku.“

„Proboszcz potrzebuje mieć co najmniej cztery izby do swego użytku.“

„Kościół bez ks. probosza jest bez celu.“

„Nie powinno być w żadnej parafii ks. proboszcza, gdzie niema dogodnego mieszkania.“

„Plebanie obszerniejsze i ozdobniejsze są wyrazem uznania i chlubą parafian względem swych księży proboszczów.“

„Na wszelkie *widowiska* różnego rodzaju, a mianowicie gdzie *chodzi o odznaczenie się i kaprys*, płacą się bileta drogo, a tem drożej na pierwsze miejsca, a jeszcze drożej gdy ścisk jest wielki. Szlachta, która zabiera najpierwsze miejsca w kościołach i t. d.“

Rzadko zdarza się zestawienie, bardziej uwalniające od wszelkich komentarzy. Apostoł chcieściański z I wieku podnosi ubóstwo do godności cnoty, apostoł XIX w. żąda koniecznie czterech pokojów, odmawia proboszcza parafii nieposiadającej wygodnego mieszkania a kościół porównywa z miejscem widowisk. I powiedzcie temu zastępcy Chrystusa, że „Jan przyodziany był sierścią wielbłądową, a pas skórzany nosił na biodrach i miodem leśnym się karmił.“ Gdyby księdzu R. J. przypomniał to ś. Marek, jegomość nasz parsknąłby śmiechem i rzekł niezawodnie: dawne to czasy, mój ewangelisto, teraz moda inna i wymagania większe.

O tej modzie i wymaganiach księży szan. kapłan rozpisał się w *Echu* z powodu znajomego czytelnikom *Prawdy* sporu pewnego proboszcza płockiego o lepszą plebanię.

„Włocławek — powiada toż samo pismo — zostaje pod wpływem *głębokiego wzruszenia*.“ Na Boga co się stało? J. E. biskup Popiel posiadał dziedzicznie w jego rodzie przechowywany puhar złoty. Gdy mu sprzęt ten się uszkodził, oddał go do naprawy jubilerowi. U jubilera zjawia się ajent angielski, poszukujący starożytności, i spostrzegłszy puhar, ofiaruje za niego 44,000 rs. „Właściciel, *zapewnie* z *żalem* (jakie to *Echo* poczciwe) za pamiątką rodzinną, ale zgadza się.“ Następuje umowa, zaliczka i interes skończony.

Cóż dalej?

A no nic, tylko Włocławek „zostaje pod wpływem głębokiego wzruszenia.“ Ale cóż go tak wzruszyło? Czy przejście puharu w obce ręce, czy ofiarowana za niego cena?

Sąd okręgowy radomski rozpatrywał sprawę, której wynik pobudził prasę do wypuszczenia sokołów na przepiórki, pisarzami gminnymi zwane.

Jeden z nich w gminie Gowarczów wyłudził w przytomności wójta po 20 rs. od dwu włościanek za mniemane wyrobienie wsparcia rządowego dla ich dzieci. Za tę sztukę pisarz skazany został na pozbawienie wszelkich praw, dwa lata ciężkich robót i osiedlenie w Syberyi, wójt zaś na pozbawienie praw stanu, rok pobytu w rotach aresztanckich i osiedlenie. Jak gdyby przeczuwając skutki tego strasznego wyroku, jeden z pisarzów gminnych, p. A. Ł. nadesłał nam obszerną obronę swego za-

wodu, w której „podnosi głos za maluczkimi robaczkami, nadeptanymi impetyczną nogą możniejszych.“ Nie powtarzamy całkowicie tej zbyt rozległej skargi, wyjmujemy z niej wszakże kilka wydatniejszych punktów. Autor dowodzi, że za liszaje kilku owiec całe stado odpowiadać nie może; że posądzanie pisarzów o agitacye przeciwko inteligentnym kandydatom na wyborach jest wobec kontroli powiatowej nieuzasadnionem, tembardziej, że ziemianie sami się od obowiązków usuwają. „Na oznaczony dzień — powiada — sołtysi przyzywają włościan a dwory zaprasza się piśmiennie. Lecz cóż z tego kiedy obywatelom nie chce się na zebranie przyjechać, a przecie pisarz nie może ich znosić do kancelaryi, jak belfer żydowski oporne bębny do szkoły.“

„Obznajmiajcie się z przepisami — tak kończy p. A. Ł. — czytajcie je, bywajcie na zebraniach gminy, wcielajcie się w jej interesy, wtedy pisarze nie będą was za nos wodzili a lud prosty położy w was zaufanie, którego dziś nie posiadacie.“ Zaiste, ciekawem byłoby wyliczenie: ile klątew na pisarzów gminnych spada z ich winy, ile z niedbalstwa i niezaradności inteligencyi wiejskiej lub jej antagonizmu względem tych, którzy popierają interesy ludu.

Asan.

PRZYBLIŻONY OBRACHUNEK POLAKÓW.

P. J. Włodek zadał sobie w *Echu* trud porachowania nas na całym świecie. Ilu mu wypadło? Policzmy z nim.

Na rok 1881 cała ludność *Królestwa* wynosiła prawdopodobnie 7,200,000 głów, śród niej polaków:

katolików	5,536,000
ewangelików	156,000
innych chrześc.	25,000
razem	5,717,000.

W całem Królestwie, nie wykazano ani jednego polaka starozakonnego. Zapamiętajmy to sobie przy późniejszych cyfrach, dla pocieszenia się, że... nas jest więcej.

Ludność *Galicyi* wynosi 5,953,000 w niej zaś polaków:

katolików	2,705,000
ewangelików	5,000
unitów	290.000
ormian	2,000
razem	3,002,000.

Na *Szląsku austryackim* przypuszczalnie z 284,000 głów przypada polaków:

katolików	185,000
ewangelików	76,000
razem	261,000.

Na *Spiżu węgierskim* 21,000 polaków-katolików.

W Prusach, w *Księstwie Poznańskiem* z 1,703,000 dusz odliczyć można polaków:

katolików	1,080,000
ewangelików	175,000
razem	1,255,000.

Cały *Szląsk pruski* posiada 5,007,000 głów; z tego polaków:

katolików	1,350,000
ewangelików	360,000
razem	1,710,000.

W *Prusach Wschodnich* polaków:

ewangelików	495,000
katolików	65,000
razem	560,000.

W *Prusach Zachodnich* z 1,405,000 ludności polaków:

katolików	585,000
ewangelików	260,000
razem	845,000.

W *Zachodnich guberniach* Cesarstwa Rosyjskiego polaków:

	katolików	1,490,000
	prawosławnych	350,000
	ewangelików	21,000
	mahometan	3,000
W *innych gub.*	katolików	80,000
	razem	1,944,000.

W *Ameryce* około 490,000.

W *wojsku* rosyjskiem, austryackiem i pruskiem 200,000.

Wszystkich więc polaków wypada około 16,000,000, z tych 13,000,000 katolików.

Że obrachunek ten jest bardzo niedokładnym, przekonywa świeżo wydana przez dra T. Pilata statystyka Galicyi [1]). Według niej ludność tej prowincyi wynosi 5,925,904, z których

języka	polskiego	używa	3,053,634
„	ruskiego	„	2,550,909
„	niemieckiego	„	318,248

t. j. polskiego 51,6%, rusińskiego 43%. niemieckiego 5,4%, innych 0,05%.

Wobec tego stosunku zbyt lekkomyślnym wyda się podobno żart humorystów galicyjskich, „poszukujących“ narodu rusińskiego.

Ogół żydów w Galicyi wynosi 685,942. Z tych 407,694 przyznało się do używania języka polskiego w mowie potocznej. Fakt ten jest nietylko pocieszającym, ale nadto wskazuje, jak niewłaściwem w obrachunku polaków być może zupełne pomijanie rzeczywistych lub nominalnych wyznawców starego zakonu.

Nie wchodzimy w szczegóły tego spisu, kreślącego nam bardzo dokładną mapę etnograficzną rozkładu żywiołów w Galicyi; zanotowaliśmy jedynie kilka cyfr ogólnych, prostujących jedną z pozycyj powyższego rachunku ogólnego. Gdy bowiem tam polaków w Galicyi wypada 3,002,000, tu 3,053,000. Różnica znaczna.

[1]) „Najważniejsze wyniki spisu ludności w Galicyi 31 grudnia 1880 r., według tymczasowych zestawień powiatowych.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 25 listopada.

Urodził się w r. 1832, wszedł do służby dyplomatycznej w roku 1854, spełniał ją w Monachium, Berlinie, Rzymie a nakoniec w Petersburgu. Tyle tylko my zdala powiedzieć możemy o nowym ministrze spraw zagranicznych, hr. Gustawie Kalnokym. Może ci, którzy patrzyli na niego, umieliby powiedzieć coś więcej i udowodnić, że ster dyplomatyczny Austryi dostał się w dobre ręce. Naturalnie gazety, ucieszone jak zwykle zawieszeniem nowego sitka na ministeryalnym kołku, oklaskują hr. Kalnoky i prorokują mu świetną przyszłość. My nawet z lotu politycznych ptaków i z wnętrzności dobrze poinformowanych dzienników nie możemy nic pewnego wywróżyć.

Sejm Rzeszy niemieckiej, otwarty nie mową tronową, ale „posłaniem“ (*Botschaft*) cesarskiem, rozpoczął już swoje obrady. Posłanie jest najlepszym dowodem, jak dalece Bismark postanowił oprzeć się woli narodu, wyrażonej przez wybory, i jak śmiałych używa do tego środków. Zarówno bowiem forma odczytanej przezeń w imieniu cesarskiem odezwy, jako też jej treść, sankcyonująca tem imieniem wszystkie projekty kanclerskie, przekonywa, że ks. Bismark nakłoniwszy monarchę do przesądzenia i uznania zgóry jego pomysłów, chce tym sposobem wywrzeć nacisk na sejm, albo też go zetrzeć z koroną i doprowadzić do konieczności rozwiązania. Położenie więc staje się niezmiernie ciekawem: co zrobi sejm z projektami kanclerza, które nie mają za sobą większości a za którymi cesarz wyraźnie się oświadczył? Pognębione miny konserwatystów rozjaśniły się rezultatem wyboru marszałków Izby, który ich kandydatowi dał, jak dawniej, pierwsze krzesło. Nie tak źle— wołają oni z dumą — liberalni nas nie zjedzą. Tryumf przed czasem. Posiadanie pierwszej laski marszałkowskiej, do której inne stronnnictwa wcale się nie cisnęły, czując jej kolce, nie zastąpi tej siły, którą lejb-gwardya kanclerza utraciła w ostatnich wyborach i do której już może nigdy nie powróci. Dodać tu winniśmy, że zwycięstwo kandydata konserwatywnego, popieranego również przez ultramontanów, rozstrzygnęli polacy, których głosy przy obecnym składzie sejmu będą prawdopodobnie zawsze przeważały wahającą się szalę. Pierwszą swą ofiarę parlamentarną złożyli dawnym i nowym bogom, które ich najhaniebniej w tegorocznej kampanii wyborczej zdradzały i oszukiwały. Co myślimy o tym związku, powiedzieliśmy już na innem miejscu. Był on zawsze niekorzystnym, dziś jest wprost zgubnym.

Gambetta przedstawił obu Izbom swój ogólnikowo wyrażony program, zapowiadający rozmaite reformy. Najdrażliwszą— rewizyę konstytucyi, uznał jeszcze za przedwczesną. Tymczasem parcie radykalistów, podkładających ciągle miny pod Senat, tę kłodę na drodze postępu rzeczypospolitej— zdaje się, ową chwilę przybliży. Na wahających się oddziałało przytem zwycięstwo nowego senatora z prawicy nad liberalnym. Kto wie zatem, czy ów parlamentarny sanhedryn nie zostanie zamknięty a jego mumie skazane na wymarcie.

Waryaci zaczynają coraz częściej wieńczyć się laurami przestępstw politycznych. Oto znowu jakiś fiksat, nazwiskiem Macaluso, rzucił z galeryi podczas rozpraw w parlamencie włoskim rewolwer nabity pod nogi Depretisowi. Ma to być członek sprzysiężenia republikańskiego; nam się zdaje, sądząc z formy zamachu, że jest to członek domu obłąkanych. Żaden poważny spisek polityczny nie powinien być tyle głupowatym, ażeby rzucać rewolwer pod nogi ministrowi i sądzić, że tym sposobem obali monarchię, a wprowadzi rzeczpospolitę. To zbyt pachnie logiką wychowańców Jana Bożego.

KRONIKA BIEŻĄCA.

— Pan Oberpolicmajster dozwolił redakcyom pism wychodzących w Warszawie zbieranie ofiar na rzecz Kasy Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia d-ra medycyny Józefa Mianowskiego. Zawiadamiając o tem czytelników naszych, polecamy ich obywatelskiej pamięci tę jedyną u nas podobnego charakteru instytucyę. Szczupłość ram pisma nie pozwala nam ogłosić dotychczasowej, bardzo obfitej już liczby członków; podawać będziemy nazwiska tylko tych, którzy za naszem pośrednictwem ofiary złożą lub jako członkowie Kasy się zapiszą. W tym celu powtarzamy odnośne przepisy ustawy:

§ 7. Członkowie kasy dzielą się na honorowych i rzeczywistych.

Za honorowych członków uważają się ci, którzy ofiarują jednorazowo dla kasy przynajmniej *sto* rubli.

Do rzeczywistych zaś członków zaliczają się osoby, wnoszące do kasy przynajmniej *pięć* rubli.

Kwestarska więc nasza skarbonka otwarta.

—Dziennikarstwo warszawskie. Redaktor *Prawdy,* A. Świętochowski, chcąc jej na przyszłość poświęcić wyłącznie swą pracę, ustąpił redakcyę a p. J. Szyf własność *Nowin* pp. Filipowi Sulimierskiemu i J. Finkelhausowi.

Sprawy społeczne. Profesor Chruszczew, prezes petersburskiego komitetu odczytów ludowych, ułożył projekt organizacyi podobnych wykładów na wielką skalę. We wszystkich miastach prowincyonalnych mają być urządzone audytorya, w których odbywać się będą wykłady popularne. Oprócz tego prof. Chruszczew przedsięwziął wydawnictwo książek dla ludu w wielkich masach.

— Ludność kuli ziemskiej wynosi obecnie 1 miliard 455 milionów dusz. Przyrost jej roczny 16 milionów. Od czasu upadku państwa rzymskiego, tj. od r. 476 ludność podwoiła się co do liczby.

— Ministeryum komunikacyj, zgodnie z przedstawieniem ministra spraw wewnętrznych, wydało polecenie, aby towarzystwo dróg żelaznych południowo-zachodnich ułożyło listę osób pochodzenia polskiego i żydowskiego, służących na tej drodze.

— W Petersburgu oberpolicmajster zalecił nową ściślą rewizyę zamieszkujących tam żydów; w tym celu osoby wyznania mojżeszowego wzywane są po kolei do cyrkułów.

— Komisya do spraw administracyjnej wysyłki osób podejrzanych politycznie, pod prezydencyą jenerała Czerewina, uznała za możebne wielu skazanym skrócić termin deportacyi, innych zaś zupełnie uwolnić. Prócz tego postanowiła kilka uchwał, mających na celu polepszenie stanu deportowanych.

— Ministeryum wojny zajmuje się obecnie przeglądem projektów zmniejszenia ciężaru rynsztunku wojennego żołnierzy, t. j. tornistra, broni, i t. p. Ciężar ten postanowiono doprowadzić do tego minimum, jakie zostało przyjęte w armii niemieckiej, t. j. do 29 kilogramów.

— Minister finansów Bunge obecnie pracuje nad nową ustawą normalną banków miejskich.

— Sekretarz stanu Grot złożył podziękowanie zarządowi Towarzystwa Osad Rolnych w Studzieńcu za wzorowe prowadzenie zakładu.

— Trzecia kasa pożyczkowa w Warszawie dla cyrkułów 2. i 3-go już została otwarta.

— 16 kas groszowych oszczędności w Warszawie od 1 lipca do 1 października r. b. wydało książeczek nowych 473, na które, oraz na dawniejsze złożono rs. 10 kop. 47. Na żądanie 283 uczestników wypłacono rs. 1,271 kop. 90½, przelano na procent do warszawskiej kasy głównej oszczędności rs. 9,060. Od założenia kas w 1861 r. 25.995 uczestników wniosło sumę rs. 312,046 kop. 40½.

Szkoły i uniwersytety. Uniwersytet warszawski liczy obecnie 1008 studentów. Jestto liczba znacznie większa, niż w latach poprzednich. Z tego przypada na wydział lekarski 513, prawny 238, fizyczny 166, historyczny 41.

— Zarząd warszawskiej akc. fabryki stali na Pradze zakupił znaczną przestrzeń placów celem wybudowania tam szkoły dla dzieci robotników i mieszkań. Obecnie dzieci te zarząd fabryki posyła swoim kosztem do szkół publicznych.

— **Nauki.** Komitet wybrany przez warsz. Towarzystwo Lekarskie rozpoczął na nowo, przerwaną przez pewien czas, pracę około ułożenia etyki lekarskiej.

— W Saratowie jeden z tamecznych zegarmistrzów wynalazł nowy przyrząd, służący do określania stopnia wilgoci w powietrzu, nazwany przez wynalazcę „wanaroemetrem“.

Przemysł handel i komunikacye. P. Simonenko, chemik, zamieszkały w Moskwie, dokonał w ostatnich czasach kilku nader praktycznych wynalazków. Między innymi wynalazł on masę, zapobiegającą gniciu drzewa, roztwór chemiczny, chroniący futra od moli, także roztwór czyniący odzież nieprzemakalną, roztwór zapewniający drzewu ogniotrwałość i wreszcie tanią emalię żelaza i drzewa. P. Simonenko za poprzednie swe wynalazki uzyskał już kilka medali i wzmiankę zaszczytną na wystawie londyńskiej.

Sztuki piękne. Komitet pomnika Adama Mickiewicza w Krakowie odbył posiedzenie w gmachu ratuszowym pod przewodnictwem prezydenta Weigla. Według sprawozdania, suma pieniędzy złożonych na pomnik dotychczas wynosi złr. 46,346, do czego nie włączono składek zebranych, lecz nienadesłanych z Warszawy. Suma ogólna wynosi zatem przypuszczalnie prawie 50,000 złr.

— W petersburskiej Akademii sztuk pięknych odbył się w tych dniach akt uroczysty doroczny z rozdaniem nagród przez W. ks. Włodzimierza jako prezesa Akademii. Przeszło czwartą część nagrodzonych stanowili Polacy.

Literatura polska. Tom 94-ty *Biblioteki najcelniejszych utworów*, za miesiąc październik wyszedł z druku i zawiera: „Dzieje literatury powszechnej.“ „Uskoki“ powieść z dziejów słowiańszczyzny południowej, przez Jeża, „Francya przed rewolucyą“ Taine'a, i „Pieśń o Nibelungach.“

— Wyszedł z druku *Kalendarz kaliski*, zredagowany w sposób częstochowski.

— W Wilnie wyszedł z druku *Kalendarz litewski* Orzeszkowej i Sp. oraz *Kalendarz domowy litewski* Zawadzkiego z mapą Litwy.

Literatura niemiecka. Haeser. *Lehrbuch der Geschichte der Medizin* (Jena).

— Hilsman. *Physiologische Studien und Entdeckungen an Lebenden* (Paderborn).

— Mendel. *Die Manie*, eine Monographie (Wien).

— Andrée. *Zur Volkskunde der Juden* (Bielefeld).

— Beeck. *Handlexicon der Geschichte und Biographie* (Berlin).

Literatura francuska. Martins Sarzenand. *Recherches historiques sur l' inamovibilité de la magistrature.*

— De Lappavent. *Traité de geologie.*

— De Saporta. *L'évolution du règne végétal.*

— Arnould. *Nouveaux éléments d' hygiène.*

— Bouchardat. *Traité d' hygiène publique et privée basé sur l' étiologie.*

— Givand Teulon. *La vision et ses anomalies* (Paris).

— Milne-Edwards. *Leçons sur la physiologie et anatomie comparée.*

Literatura włoska. Morselli. *Introduzione alla lesioni di psicologia*, patologia e di clinica psichiatrica (Torino).

— Brunialti. *Algeria, Tunisia e Tripolitana* (Bologna).

— Lomonaco. *Nozioni elementari di diritto civile.*

— Mainardi. *La riscossione delle imposte dirette.*

— Mammoli. *La prostituzione* considerata ne suoi rapporti con la storia.

— Marzorati. *Elementi di economia* ed estimo rurale e cadastro.

— Virgilio. *Dilla prova per testimoni.*

— Bernardo. *Il Darwinismo* e le specie animali.

— Valdonio. *Sulla variabilita delle specie* e sull' adattamento degli animalia sodisfare le esigenze dell' nomo.

— Arasive. *La religione e i partiti estremi.*

— Comi. *Nozioni storiche della ginnastica.*

— Barsanti. *Della scienza economica* nelle sue relazioni con la sociologia e in specie col dirittto civile e penale.

— Brunialti. *La constituzione italiana.*

— Cenert. *Lezioni su temi del „jus familiae.“*

— Foresta. *L' adulterio del marito.* Ugnalianza della donna. Divorzio. Studio sociale.

Literatura rosyjska. Główny zarząd prasy wydał pozwolenie na wydawnictwo następujących nowych pism rosyjskich: *Literaturnyj spuinik* pod redakcyą Kleopatry Zajke, *Russkij Citrist* pod redakcyą prof. Banera, *Sudiebnaja gazeta* pod redakcyą Niczelowicza, *Kiewskaja starina* pod redakcyą Lebedincewa i *Techniczeskij żurnal* pod redakcyą Borodina w Kijowie.

— Ministerium finansów ogłosiło drukiem taryfę celną rosyjską porównawczo z taryfami cudzoziemskiemi.

— Książę Meszczerskij rozpoczyna na nowo wydawnictwo gazety *Grażdanin.*

— Bogosłowskij. *Sbornik zakonow o raskole* (Moskwa).

— Gorczakow. *Cerkownoje prawo*, lekcyi 1880 – 81 (Petersburg).

— Markow. *Obzor filosowskich uczenij* (Moskwa).

— Bukanow. *Ruskaja podwiżnaja szkoła* (Petersburg).

— Elnickij. *Kurs didaktiki*, (Petersburg).

— *Położenie o wyższich żenskich kursach* uczreżdiennych w Kiewie.

— Słynny etnograf i podróżnik Maksimow pisze ciekawe dzieło p. t. *Robinsoni syberyjscy*, w którym przedstawia życie różnych awanturników na Syberyi.

— W Petersburgu zakładają się dwa nowe pisma: literalny miesięcznik p. t. *Nabludatel* pod redakcyą Piatkowskiego i dziennik *Echo gazet*, złożony z przedruków i wycinków.

Teatr. W Warszawie w Teatrze Małym wystawiono po raz pierwszy nieznaną u nas dotąd operetkę Ofenbacha *Bęben*, oraz jedną z pośmiertnych komedyj Fredry ojca *Ożenić się nie mogę.*

— Towarzystwo dramatyczne Teksla bawi obecnie w Łodzi; Puchniewskiego przeniosło się z Radomia do Kielc, w Lublinie daje przedstawienia trupa Grabińskiego, w Płocku Kremskiego, a w Łomży p. Tarnowskiego.

— Warszawska komisya teatralna zatwierdzoną już została przez miejscowego jenerał-gubernatora.

OGŁOSZENIA.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Ноября 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.